NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.— 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 8 października 1910. Nr. 41.

Krwawe dni w Berlinie.

(Treść na str. 2).



Nr. 41. „Nowości illustrowanych" zawiera: Sztandar korporacyi stolarskiej we Lwowie. — Polowanie na wieloryby. — Po przelocie Simplonu. — Z życia Beduinów. — Pruska nagroda. — Zgoda między Wiedniem a Budapesztem. — Katastrofy na morzu. — Dziatwa bośniacka w Niepołomicach. — Grobowiec Modrzejewskiej w Krakowie. — Stulecie oswobodzenia Meksyku. — Wycieczka dziewcząt w Krakowie.

Nasza nowa powieść!

Z prawdziwem i szczerem zadowoleniem dzielimy się z naszymi P. T. Czytelnikami wiadomością, iż w jednym z najbliższych numerów, po ukończeniu drukującej się obecnie powieści „Tajemnicze dokumenty", rozpoczniemy druk **powieści oryginalnej,** napisanej dla naszego pisma przez znanego i tak powszechnie cenionego autora **Wacława Gąsiorowskiego.**

Powieść ta będzie osnuta na tle historycznem, a bohaterem jej będzie

Generał Bem

postać jedna z najpiękniejszych w naszych dziejach porozbiorowych, a dotychczas w literaturze belletrystycznej bardzo mało wyzyskana.

Swietne pióro Gąsiorowskiego, autora szeregu znakomitych powieści historycznych, stanowi rękojmię, że nasza nowa powieść spotka się z przyjęciem jak najlepszem u wszystkich Czytelników.

Krwawe dni w Berlinie.

Na ulicach dzielnicy Moabit w Berlinie, w stolicy państwa niemieckiego, w rezydencyi „narzędzia Boskiego", toczyły się w ubiegłym tygodniu przez kilka dni niesłychanie krwawe walki między wzburzoną ludnością robotniczą a policyą. Następstwem burzliwych zajść są trupy i dziesiątki ciężko rannych po stronie tłumów jak i po stronie policyi. Walki bowiem odznaczały się nadzwyczajną zaciętością.

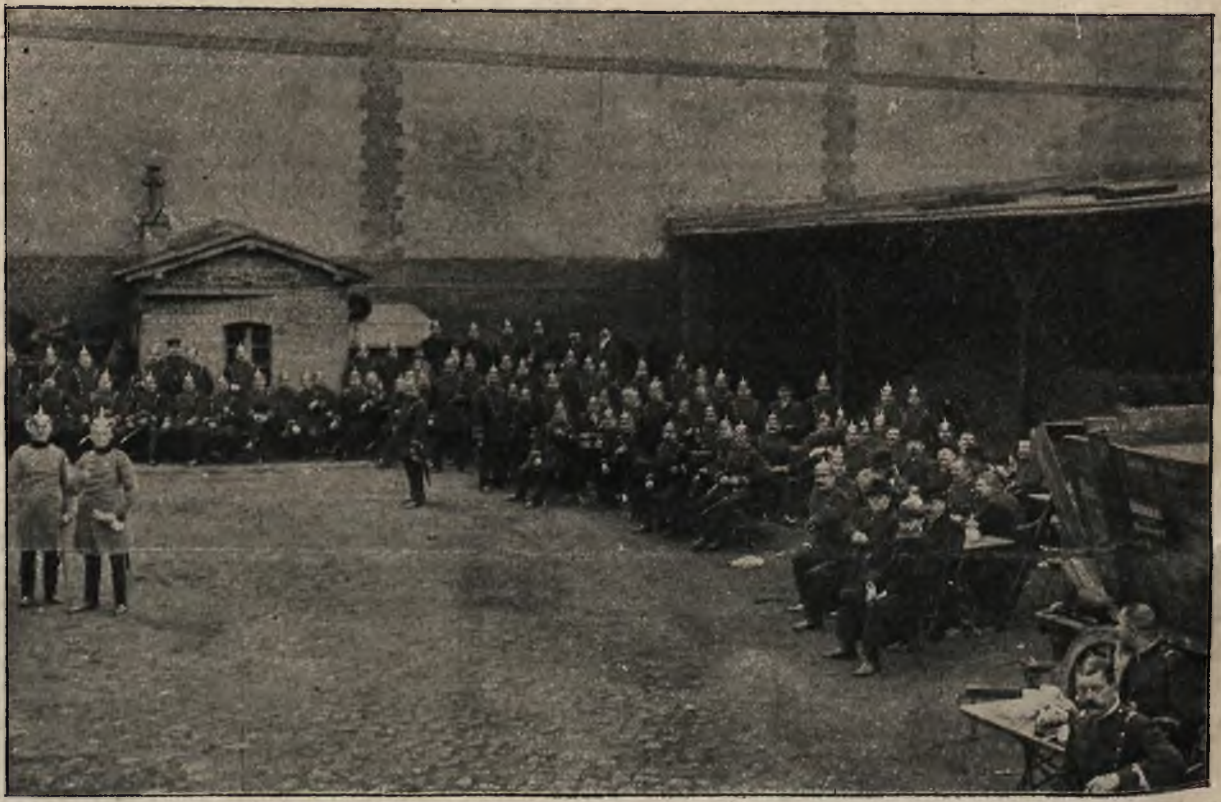
Krwawy zatarg w Berlinie nie miał tym razem żadnego zgoła podkładu politycznego a powstał wyłącznie na tle stosunków ekonomicznych i społecznych, na tle nieporozumień między strajkującymi robotnikami wielkiego magazynu węglowego a pracodawcami.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu krwawych zaburzeń było obstawienie magazynu przez policyę, co miało umożliwić pracę robotnikom, którzy do strajku nie przystąpili, co dalej miało zapobiec wkroczeniu strajkujących w obręb składów. Podnieciła namiętność strajkujących nadto okoliczność, iż „łamistrajkom" pozwoliła policya zaopatrzyć się w broń.

A wybuchłszy żywiołowo, namiętności tłumu nie dały się rychło uspokoić. Przyszło na ulicach Moabitu do niesłychanie brutalnych zajść, do strasznego rozlewu krwi, do istnej rewolucyi ulicznej. Zarówno demonstranci jak policya posługiwali się rewolwerami i bronią białą, nadto obrzucano przedstawicieli władzy bezpieczeństwa kamieniami. Ofiarą wzburzonego tłumu padły także latarnie uliczne, kioski, wiele sklepów, a nawet jeden z kościołów ewangelickich.

Rozruchy miały charakter chroniczny i powtarzały się przez kilka dni z rzędu, mimo czujności policyi, która skonsygnowana w ogromnej liczbie i uzbrojona w brauningi, zawczasu obstawiała wszystkie ważniejsze punkty, zwłaszcza narożniki ulic. Nie pomagało to wiele, gdyż tłum zbierał się w zwartych masach i dobrze uzbrojony rzucał się na policyantów, rzucał się na sklepy, na kioski i niszczył wszystko, co mu pod rękę wpadło.

To straszne rozdrażnienie tłumu berlińskiego było skutkiem i następstwem brutalności policyi, która zaraz z początku rozruchów, kiedy łagodnością i wyrozumiałością można było zapobiec rozlewowi krwi, masakrowała bez pardonu demonstrantów i mnóstwo ich pokaleczyła. To też już w pierwszym dniu krwawych zajść, po każdym ataku policyi, przy których nie żałowano ani szabli ani rewolwerów, oczyszczały się na chwilę ulice. Ale demonstranci pokazywali się wówczas w oknach domów, na balkonach i dachach i stamtąd prażyli policyę kamieniami i cegłami. A gdy szarża policyi minęła, wypadał tłum z powrotem na ulice i dalej szerzył spustoszenie. Jak bardzo groźny i ostry był charakter ruchu dowodzi już ten fakt, że potężna siła zbrojna 1500



Krwawe dni w Berlinie: Policya berlińska, skonsygnowana z powodu krwawych rozruchów w dzielnicy Moabit w Berlinie.

policyantów pieszych i konnych, nie zdołała przywrócić spokoju ani przeszkodzić ponowieniu się rozruchów.

Jak zaś niesłychanie brutalnie postępowała policya berlińska, z jaką bezwzględnością tłumić chciała zaburzenia, wskazują bardzo liczne wypadki pokaleczenia i potratowania osób zupełnie niewinnych, nie mających nic wspólnego z rozruchami.

Najjaskrawiej atoli świadczy o niesłychanej brutalności tej policyi wypadek, który spotkał grono dziennikarzy, korespondentów pism angielskich. — Chcąc przypatrzeć się osobiście krwawym rozruchom, aby przesłać swym pismom dokładne relacye, wybrali się automobilem do dzielnicy Moabit i zbliżyli się do miejsca, gdzie właśnie policya „urzędowała". Mimo, iż dziennikarze ci nie dali zupełnie policyi powodu do wkroczenia, kilku konnych i pieszych policyantów rzuciło się z zaciekłością ku automobilowi i zaczęło bez pardonu masakrować siedzących w nim dziennikarzy. Nie pomogły perswazye, nie pomogły legitymacye, jakiemi wykazywali się korespondenci pism zagranicznych, policya robiła swoje a rezultatem „urzędowania" berlińskiej władzy bezpieczeństwa okazało się ciężkie pokaleczenie dwu dziennikarzy.

Wypadek ten, oraz zachowanie się policyi wogóle, wywołało oburzenie w całej prasie nietylko niemieckiej ale i zagranicznej.

Krwawo zakończony napad policyi na dziennikarzy przedstawia nasza rycina tytułowa.



Wyścigi cyklistów w Piotrkowie: Członkowie towarzystw cyklistów warszawskiego, łódzkiego i pabjanickiego wraz z gronem cyklistów z księstwa poznańskiego.

...ycieczka szkoły gospodarskiej w Krakowie.

...awiła w Krakowie przed kilku dniami bardzo sympatyczna wycieczka uczenic szkoły gospodarstwa domowego w Mirosławicach. Kilkadziesiąt dziewcząt w charakterystycznych strojach ludowych zwiedziło miasto i jego pamiątki, a nauczycielki szkoły oraz kilka pań z Krakowa udzielały im wyjaśnień, pouczając je przy tej sposobności o pięknej przeszłości naszego narodu.

Mirosławice w guberni warszawskiej, to kolonia dla wiejskich dziewcząt, założona 1906 r. przez Koło ziemianek, pochodzących z całego Królestwa. Kolonia ta ma na celu wykształcenie dziewcząt wiejskich w wyższem gospodarstwie domowem i podniesienie ich poziomu umysłowego. Kolonia posiada nauczycielki, kształcące swe uczenice sposobem popularnych wykładów z rozmaitych dziedzin wiedzy, Z zarządu kolonii przybyły do Krakowa z wycieczką pp. Kretkowska i Karczewska oraz trzy nauczycielki.

Dziewczęta z Mirosławic bawiły w Krakowie przez cztery dni, a grupę ich przed pomnikiem grunwaldzkim przedstawia dzisiejsza nasza rycina.

Z życia Beduinów.

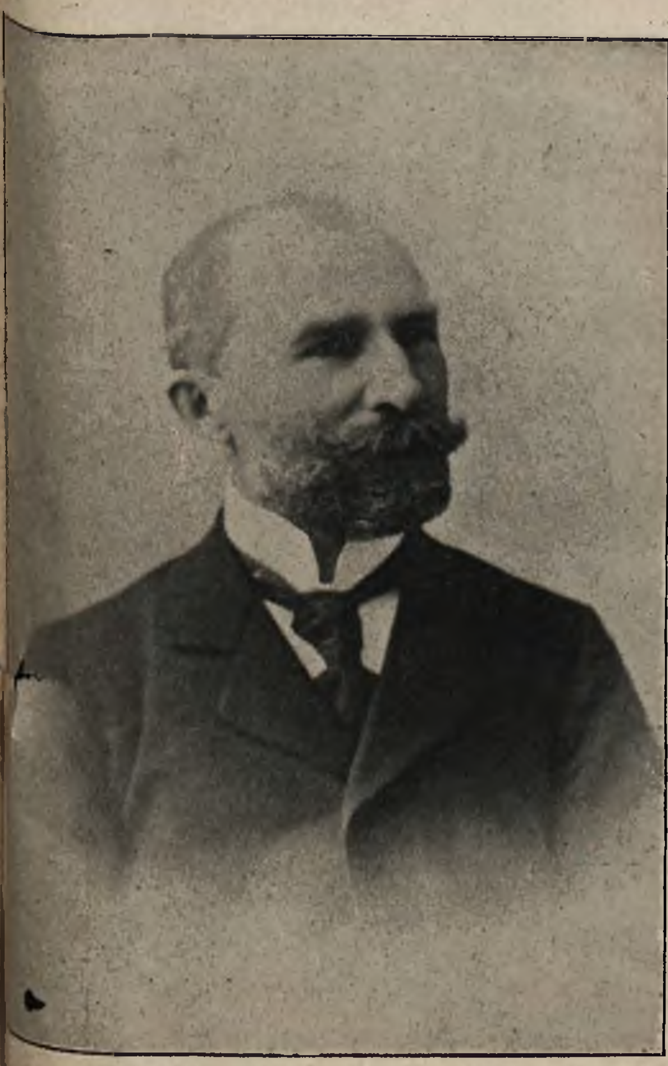
(Do illustracyi na str. 7).

Beduini, mieszkający w puszczach Arabii, potomkowie niepodległych i swobodnych, sławnych ongiś szczepów, w czasach dzisiejszych, pozbawionych głośnych walk, bawią się — *sit venia verbo* — wojną między sobą, albo z podróżującemi przez pustynie Arabii karawanami.

Włócząc się od końca do końca ogromnych, bezludnych okolic, romantyczni Arabowie napadają wzajemnie na siebie. Napady te stanowią u Beduinów niejako sport — jak u nas n. p. piłka nożna lub wyścigi. Prawie codziennie rozgrywają się w pustej Arabii walki bezkrwawe, bo Beduini nie lubią rozlewu krwi, zadawalają się oni uniesieniem rozmaitego łupu, jak towarów, broni itp.

Rzadkiem zaś zjawiskiem jest napad na Europejczyków. Toż jako nadzwyczajne zdarzenie zanotowano w ostatnich dniach napad 150 Beduinów na podróżnika angielskiego mr. Douglasa Carruthersa, któremu odebrano całe mienie.

Rycina nasza przedstawia obraz napadu hordy Beduinów na karawanę, odpoczywającą w pustyni. Anglicy nazywają takie „zabawy“ Beduinów „Held Up“.



...czenie zasłużonego urzędnika: Były wiceprezydent dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie, Ludwik Pikor.

Młodzież bocheńska w Niepołomicach.

Podczas uroczystości grunwaldzkich w Krakowie, widzieliśmy karne i sprawne zastępy sokole, lecz zaledwie minęło parę tygodni, a już wrażenia zlotu zacierają się w pamięci ogółu; w gniazdach tylko sokolich praca idzie dalej. Ciągle się rozszerza fundamenty gmachu, by go dalej budować.

Jeden z objawów tej pracy widzieliśmy niedawno gdy do Niepołomic przybył sokoli korpus wakacyjny z Bochni, składający się z 70 chłopców i 50 dziewcząt. Zaraz po przybyciu dziatwa, a z nią i towarzyszące jej rodziny, zabrały się do sypania kopca grunwaldzkiego. Serce rosło, gdy się patrzyło na robotników, których wzrost nie przenosił nieraz wysokości łopaty, jak z zapałem nasypywali ziemię do taczek starszym kolegom lub rodzicom.

Po pracy gniazdo niepołomickie gościnnie podejmowało dziatwę, która po wypoczynku stanęła do ćwiczeń. Z zajęciem podziwiano bardzo ładne a mało znane ćwiczenia serpentynami dziewcząt, dziarską postawę malców w rogatywkach, ćwiczących karabinami, a w końcu rej i pochód ozdobny, przez cały wykonany korpus. Podziwiać trzeba kierownika tego korpusu, który podczas feryj wakacyjnych zamiast wypoczywać, od kilkunastu lat prowadzi ćwiczenia i zabawy dzieci.



Wycieczka szkoły gospodarskiej w Krakowie: Uczestniczki wycieczki wraz z swemi przewodniczkami, przed pomnikiem grunwaldzkim w Krakowie.

Sztandar korporacyi stolarskiej we Lwowie.

Jeden z najstarszych cechów lwowskich, cech stolarski, istniejący od pięciu z góry wieków, obchodził w ubiegłym tygodniu wielką uroczystość, mianowicie poświęcenie nowego sztandaru cechowego.

Uroczystość odbyła się w kościele archikatedralnym. Całe presbiteryum wypełniło się istnym lasem sztandarów cechowych i stowarzyszeń, przybyły



Dziatwa bocheńska w Niepołomicach: Dzieci z korpusów wakacyjnych w Bochni, w czasie pracy około sypania kopca w Niepołomicach.

...wiem z nimi delegacye wszystkich lwowskich korporacyi i stowarzyszeń. Zjawili się dalej w katedrze: ks. biskup Bandurski, pani namiestnikowa Bobrzyńska, marszałek kraju hr. Badeni, prezydent miasta Ciuchciński, wiceprezydent dr Rutowski, kilku posłów, grono radnych miejskich, szef departamentu przemysłowego magistratu st. radca dr Fiszer oraz mnóstwo zaprosonych na uroczystość gości.



Tragiczny zgon adwokata warszawskiego: Śp. Julian Krzycki.

Po nabożeństwie, celebrowanem przez ks. kanonika Swisterskiego, dokonał ks. arcybiskup Bilczewski aktu poświęcenia pięknego sztandaru cechowego, poczem przemówił w gorących słowach, sławiąc świetną przeszłość i wielki patryotyzm mieszczaństwa lwowskiego, mieszczaństwa. które składa się właśnie z rękodzielników miasta. W zakończeniu pięknej, podniosłej swej mowy, złożył ks. arcybiskup życzenia cechowi, by rozwijał się dalej na chwałę i sławę miasta i rękodzieła polskiego.

Nastąpiło tradycyjne wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru; rozpoczął je ks. arcybiskup, poczem uczynili to inni dostojnicy duchowni, rodzice chrzestni, przedstawiciele rady miejskiej itd.

Po zakończeniu uroczystości w katedrze, udali się uczestnicy pochodem na strzelnicę miejską, gdzie cech stolarski podejmował gości sutem śniadaniem, w czasie którego wzniesiono szereg toastów.

Pruska nagroda.

(Do illustracyi na str. 10).

Bardzo dziwne wrażenie i rozmaitego rodzaju komentarze wywołała wiadomość, podana przed kilku dniami przez dzienniki, iż były dyrektor policyi lwowskiej, radca rządu Wilhelm Schechtel, od kilku miesięcy pozostający na emeryturze, otrzymał od rządu pruskiego w uznaniu położonych w czasie urzędowania zasług, order pruskiej korony.

Nie wchodząc w ocenę wartości i wysokości orderu, przyznanego p. Schechtlowi, stwierdzić się musi, że tego rodzaju odznaczenie przez rząd pruski dyrektora policyi w stolicy polskiego kraju, rzuca na to jego urzędowanie światło bardzo charakterystyczne. Należy zaś przytem pamiętać, że za czasów rządów dyr. Schechtla był Lwów widownią szeregu patryotycznych a poważnych manifestacyi, skierowanych przeciw rządowi pruskiemu, a składanych „na ręce“ konsula pruskiego, manifestacyi namiętnych zwłaszcza po pamiętnym procesie wrzesińskim.

Jedno z pism lwowskich komentuje odznaczenie dyr. Schechtla przez rząd pruski w ten sposób, iż ma to być nagroda za otaczanie konsulatu pruskiego we Lwowie bardzo czujną i troskliwą opieką w czasie właśnie owych manifestacyi antiniemieckich. Podobno rząd pruski proponował dyr. Schechtlowi już dawniej to odznaczenie, p. Schechtel jednak miał na tyle taktu, iż nie chciał orderu owego przyjąć tak długo, jak długo zajmował stanowisko urzędnika w Galicyi.



Dziatwa bocheńska w Niepołomicach: Chłopcy i dziewczęta z korpusów wakacyjnych w Bochni.



Sztandar korporacyi stolarskiej we Lwowie: Członkowie korporacyi stolarskiej i uczestnicy uroczystości poświęcenia sztandaru. (Fot. Bahrymowicz i Stetkiewicz, Lwów)

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

20 (Ciąg dalszy).

Lupin skłonił się nisko.

— Jutro mamy 22 sierpnia. Jutro listy mają być ogłoszone, prawda? — zapytał gość.

— Jeszcze dzisiejszej nocy. Za dwie godziny przyjaciele moi mają złożyć w redakcyi „Grand Journal“ nie listy wprawdzie jeszcze, ale dokładny spis tych listów, podany przez wielkiego księcia Hermana.

— Ten spis ogłoszony nie będzie. Odda mnie go pan. Jak również same listy.

Gość mówił spokojnie, konstatował fakt, nie prosił. Znać było, że kto tak mówi, ten pisze się na wszystkie warunki.

Lupin przytwierdzał milczeniem.

— Pan sam czytałeś te listy?

— Nie.

— Lecz ktoś z pańskich ludzi?

— Także nie.

— Co to znaczy?

— Znaczy, że posiadam spis i adnotacye wielkiego księcia. Zresztą znam skrytkę, gdzie ukrył wszystkie te papiery.

— A dla czego nie wydostałeś ich pan dotąd?

— Tajemnicę skrytki poznałem dopiero od czasu, gdy tu jestem. W danej chwili wyprawili się tam moi przyjaciele.

— Zamek jest pod strażą; dwustu naszych ludzi go pilnuje.

— Pomimo to...

Gość zamyślił się.

— Przez cztery dni zamek przetrząsaliśmy w każdym zakątku.

— Sherlock Holmes źle szukał. Ja odnajdę je napewno.

— Tem lepiej, tem lepiej — szepnął do siebie gość. — Nie będzie spokoju, dopóki istnieć będą te listy!

I nagle stając wprost przed Lupinem, zapytał:

— Ile pan żądasz?

— Jakto?

— Ile za te papiery? Ile za wyjawienie tajemnicy? Pięćdziesiąt tysięcy?... Sto tysięcy?

A że Lupin nie odpowiadał, dodał z pewnem wahaniem:

— Czy więcej? Może dwieście tysięcy? Dobrze. Przyjmuję.

Lupin uśmiechnął się i rzekł cichym głosem:

— Cyfra jest ładna. Ale czyż nie należy przypuszczać, że jakiś monarcha, np. król angielski, got wby dać więcej za nie... Chociażby milion?...

— Bardzo być może.

— I że te listy są dla cesarza ponad wszelką cenę? że warte są równie dobrze dwa miliony, jak dwieście tysięcy franków... równie dobrze trzy miliony, jak dwa?...

— Nie przeczę.

— I że, gdyby tego było potrzeba, cesarz zapłaciłby te trzy miliony?

— Zapewne.

— A więc o porozumienie nie trudno.

— Na tej podstawie? — zawołał gość troche niespokojnie.

Lupin uśmiechnął się znowu.

— Nie. Nie na tej podstawie. Nie szukam pieniędzy. Pragnę dla siebie czegoś cenniejszego od pieniędzy.

— I czegóż to mianowicie?

— Wolności.

Obcy drgnął.

— Co! Wolności dla pana? Ależ ja tu nic nie mogę... Tu my nie mamy władzy...

Lupin przystąpił bliżej i rzekł jeszcze ciszej:

— Ma książę wszelką możność... Wystarczy, by książę, imieniem swego pana, wstawił się u pana Valenglay, prezydenta ministrów.

— Ależ to należy do ministerstwa sprawiedliwości. To byłby skandal. P. Valenglay nie może...

— Bardzo dobrze, owszem, może otworzyć mi drzw. więzienia. Jeżeli mówię drzwi „otworzyć“, mam na myśli drzwi „uchylić“. Można urządzić sy...cyę ucieczki... publiczność tak się tego spodzie...że nie wglądałaby bliżej.

— Być może... ale pan Valenglay nie zechce...

— Dlaczego? Przysłużyć się cesarzowi tak dro...zeczą, sam zmysł ...

...nglay to dobry p...

...aże amyśl...

— Poza tem innych warunków nie stawiasz pan?

— Owszem... jeszcze jeden.

— A to mianowicie?

— Odnalazłem syna księcia Dwóch-Mostów Veldenz. Żądam, by mu przywrócono prawa.

— I co jeszcze?

— On kocha młodą dziewczynę, która go kocha wzajemnie, najpiękniejszą i najcnotliwszą z kobiet. Niech mu będzie dozwolonem pojąć ją za żonę.

— I jeszcze co więcej?

— Więcej nic. Jeżeli książę imieniem swego monarchy przyjmuje moje warunki, proszę oddać redaktorowi „Grand Journal“ ten list, gdzie go proszę, by nie czytając, zniszczył artykuł, który lada chwila doręczonym mu będzie.

Lupin ze ściśniętem sercem, drżącą ręką podał list. Jeżeli hrabia go przyjmie, będzie to znak zgody...

Hrabia zawahał się, a potem porywczym gestem wziął list, nasunął czapkę, otulił się w płaszcz i wyszedł, nie mówiąc słowa.

Lupin zachwiał się, jak pijany, i nagle z radosnym śmiechem opadł na krzesło.

Rozdział III.

I.

— Panie sędzio śledczy, a więc dzisiaj z żalem mam honor pana pożegnać!

— Jakto, panie Lupin, pan masz zamiar nas opuścić?

— Bardzo niechętnie, panie sędzio śledczy, gdyż stosunki nasze były przecież tak serdeczne! Ale każda przyjemność się kończy. Skończyłem moją kuracyę. Inne obowiązki mnie wzywają. Muszę uciekać tej nocy.

— Szczęść Boże, panie Lupin!

— Dziękuję, panie sędzio!

Arsen Lupin czekał cierpliwie chwili swojej „ucieczki“, ciekaw, jak się to odbędzie bez nazbyt wielkiego skandalu.

W biegu popołudnia dozorca polecił mu udać się na podwórzec wchodowy. Poszedł tam żwawo i zastał dyrektora więzienia; ten wydał go w ręce p. Webera, tenże zaś p. Weber kazał mu wsiąść do automobilu, w którym już ktoś siedział. Był to sam prefekt policyi.

Automobil sunął szybko wzdłuż Sekwany. W Saint Cloud przejechano na drugą stronę rzeki.

— Doskonale! — pomyślał Lupin — jedziemy do Garches! Niby to potrzebują dostawić mnie na miejsce zbrodni, by zbadać okoliczności morderstwa Altenheima. Zejdziemy do suteren, ja zniknę i będzie powiedziane, że umknąłem innem wyjściem, którego nikt nie znał, prócz mnie! No, mogli się przecież zdobyć na oryginalniejszy pomysł!

Program był istotnie taki, jak go Lupin przewidział. Przez Zacisze dotarto do pawilonu Hortensyi. Lupin i dwaj jego towarzysze zeszli na dół i przeszli wzdłuż cały podziemny ganek. Gdy doszli do końca, p. Weber przemówił:

— Jesteś pan wolny!

— Ślicznie dziękuję, drogi panie Weber i bardzo przepraszam za cały ambaras. Moje uszanowanie, panie prefekcie!

Wyszedł na schodki, prowadzące do willi pod Glicyniami, podniósł klapę i wskoczył do izby.

Czyjaś ręka chwyciła go za ramię.

Przed nim stał gość jego wczorajszy, w towarzystwie czterech ludzi.

— Jakżeż to? Co znaczy ten żart? — zdziwił się Lupin. — Czyż to ja nie jestem wolny?

— Owszem, owszem — mruknął Niemiec — jesteś pan wolny; wolno panu podróżować z nami, jeżeli pan łaskaw!

Lupin szybkiem spojrzeniem obrzucił obecnych i mało zachęcające ich twarze.

— Jeżelim łaskaw! — roześmiał się. — Ależ to moje marzenie!

Na podwórzu czekał automobil silnej budowy. Wsiedli weń wszyscy.

— W drogę! — zawołał Lupin po niemiecku. W drogę do Veldenz!

— Cicho! Ci ludzie nie powinni nic wiedzieć! — ostrzegł go hrabia. — Mów pan po francusku. Nie rozumieją, a zresztą po co rozmawiać?

— — — — — — — — — — —

...la zasilenia motoru... wypadku jechali wieczór ca... ...wali poza Metzem i skręcali w ... tylko raz po raz ...postrzegli dążący za nimi r... ...dy już się znajdo... ...rabia Waldemar ... kierunku Trewiru, ...zony automobil.

...

— Na prawo! Zwolnij!... Niech nas miną! — zawołał do szofera.

W tej chwili automobil za nimi zdwoił jeszcze szybkość i minął ich, jak wicher, wznosząc tuman pyłu. W tyle rozróżnić było można postać stojącego mężczyzny. Ubrany był czarno. Wzniósł rękę. Huknęły dwa strzały.

Hrabia, który wychylił się przez lewą portyerę, zachwiał się i opadł w głąb powozu.

— — — — — — — — — — —

Rana nie była poważną. Opatrzono ją na prędce. Ranny jednak, rozdrażniony, dostał gorączki i zaczął majaczyć. Była ósma rano. Stali w szczerem polu, zdala od mieszkań ludzkich. Ludzie byli bezradni, gdyż nie znali dokładnie celu wyprawy. Dokąd jechać? Kogo uprzedzić?

Ustawili automobil pod lasem i czekali.

W ten sposób zeszedł cały dzień. Wieczorem dopiero nadszedł oddział kawaleryi, wysłany z Trewiru na poszukiwania za automobilem.

— — — — — — — — — — —

W dwie godziny później Lupin wysiadał i wciąż pod strażą dwóch Niemców wchodził po schodach do małego pokoiku o zakratowanych oknach.

Tam spędził noc.

Nazajutrz rano oficer gwardyi przeprowadził go przez podwórze, zapełnione żołnierzami, do środkowego budynku wśród całego szeregu budowli okrążających wzgórek, na szczycie którego rozsiadła się ruina starego zamczyska.

Wprowadzono go do obszernej izby, naprędce umeblowanej. Przed biurkiem przeglądał dzienniki, nakreślając coś na nich czerwonym ołówkiem, sam monarcha.

— Proszę odejść — zwrócił się do oficera.

I przystąpił do Lupina.

— Gdzie papiery? — Ton jego był suchy, rozkazujący, wzgardliwy.

— Gdzie papiery? — powtórzył.

— Są w zamku Veldenz — odpowiedział Lupin, nie tracąc miny, spokojnie.

— Jesteśmy w dolnych zabudowaniach zamku. Tam są ruiny.

— Papiery przechowane są w tych ruinach.

— Pójdźmy tam. Zaprowadź mnie.

— Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Lupin — to nie jest tak proste, jakby się zdawało. Trzeba trochę czasu, by wprowadzić w grę czynniki potrzebne do otworzenia skrytki.

— Ileż godzin panu na to trzeba?

— Dwudziestu czterech.

— To w naszej umowie nie było zastrzeżone! żachnął się gniewnie panujący.

— Szczegóły nie były omówione, Najjaśniejszy Panie!... Ani to, ani ta przejażdżka, którą Jego Cesarska Mość nakazał mi odbyć pod strażą sześciu gwardzistów. Gdyby nie to, papiery byłyby już w posiadaniu Waszej Cesarskiej Mości. Straciliśmy bowiem cały jeden dzień przez to jedynie... — A wszystko dla tego, że Najjaśniejszy Pan nie raczył mi zaufać i nie pozwolił działać z wolnej stopy!

Monarcha ze zdziwieniem spojrzał na tego wyrzutka społeczeństwa, na tego bandytę, który czuł się urażonym brakiem okazanego sobie zaufania. Nie odpowiedział, zadzwonił tylko.

— Poprosić oficera służbowego — rozkazał.

Wszedł hrabia Waldemar, bardzo blady.

— To ty, Waldemarze! Dobrze się już czujesz?

— Dziękuję. Oto jestem na rozkazy.

— Weź ze sobą pięciu ludzi. Aż do jutra rana nie opuszczaj... tego pana ani na krok.

Spojrzał na zegarek.

— Aż do jutra rana do dziesiątej... nie, niech będzie aż do południa. Pójdziesz z nim, dokądkolwiek będzie chciał, zrobisz, co ci poleci zrobić. Jednem słowem niech on tobą rozporządza. Jeżeli do dwunastej nie wręczy mi paczki listów, wsadzisz go do twego automobilu i nie tracąc czasu odwieziesz go wprost do więzienia Santé.

I wyszedł.

Rozdział IV.

Ruiny zamku Veldenz, dobrze znane tym wszystkim, którzy zwiedzają brzegi Renu i Mozelli, obejmują szczątki starego zamku feudalnego, zbudowanego w XIII wieku i obok olbrzymiej wieży nietknięte mury pałacu z czasów odrodzenia, który wielcy książęta Dwóch Mostów zamieszkiwali od trzech wieków.

Ten to pałac zniszczyli zbuntowani poddani Hermana II. Z czterech fasad zieje pustką dwieście okien. Wszystkie boazerye, obicia, większość mebli, ... węglonych belkach

parkietów, a niebo zagląda przez podziurawione sufity.

Po dwóch godzinach Lupin wraz ze swoją eskortą zdążył obejść wszystko.

Choć nadrabiał miną, w gruncie rzeczy wiedział teraz tyle, co i w pierwszej chwili. W więzieniu, chcąc podziałać na wyobraźnię swojego gościa, blagował, udawał, że wie wszystko, a właściwie szukał dopiero, od czego tu zacząć szukać.

Źle — myślał chwilami — źle, coraz gorzej! Zresztą brak mu było zwykłej jasności głowy. Prześladowała go myśl o tym nieznajomym, o tym mordercy, o potworze, który szedł za nim trop w trop...

Jakim sposobem tajemnicza ta osobistość mogła iść za jego śladem? Jakim sposobem dowiedziała się o jego wyjściu z więzienia i o szlakach jego drogi? Czy to była cudowna intuicya, czy też rezultat ścisłych informacyj? A jeśli tak — za jaką cenę, jakiemi obietnicami, czy groźbą — mógł on je otrzymać?

Wszystkie te pytania pokutowały w głowie Lupina.

Około czwartej jednak, odbywszy ponowny spacer po ruinach, w czasie którego daremnie badał kamienie, mierzył grubość murów — oglądał kształt i powierzchnię przedmiotów, stawił pytanie hrabiemu:

— Czy nie został przy życiu żaden stary sługa ostatniego w. księcia, który mieszkał w tym pałacu?

— Cała ówczesna służba rozprószyła się po świecie. Jeden tylko pozostał w tych stronach, ale ten umarł dwa lata temu.

— Bezdzietnie?

— Miał syna, który się ożenił i został wygnany wraz z żoną z powodu złego prowadzenia się. Ci pozostawili tu najmłodsze ze swoich dzieci, córeczkę imieniem Izilda?

— Gdzie ona mieszka?

— Tu mieszka, na końcu zabudowań dworskich. Stary dziadek służył gościom zwiedzającym za przewodnika, w czasach, gdy wolno było zwiedzać zamek. Odtąd mała Izilda mieszka stale w tych ruinach, gdzie ją się przez litość znosi: to biedne stworzenie niespełna rozumu, które ledwie mówić umie, a sama nie wie, co mówi.

— Czy zawsze takim był jej stan?

— Zdaje się, że nie zawsze. Doszedłszy do lat dziesięciu zwolna dostała pomieszania zmysłów.

— Może wskutek zmartwienia, albo przestrachu?

— Nie, mówiono mi, że bez powodu. Ojciec był alkoholikiem, a matka odebrała sobie życie w przystępie obłędu.

— Chciałbym ją widzieć — oświadczył Lupin.

Hrabia uśmiechnął się dość dziwnie.

— Naturalnie, może ją pan zobaczyć.

Znajdowała się właśnie w jednej z izb, które jej oddano.

Lupin zadziwił się, ujrzawszy drobne, milutkie stworzonko, bardzo szczupłe, bardzo blade, ale prawie ładne z blond włosami i delikatną twarzyczką. Oczy jej zielone, koloru morskiej wody, miały wyraz mglisty, marzący, jak oczy niewidomej.

Zadał jej kilka pytań, na które Izilda nie odpowiedziała wcale i jeszcze kilka, na które odpowiedziała zdaniami bez związku.

Nalegał, ująwszy rękę jej bardzo łagodnie i rozpytywał przyjacielskim głosem o dziadka i o ten okres czasu, gdy jeszcze była przy pełnym rozumie; to czyniąc, usiłował obudzić w niej wspomnienia dzieciństwa, wspomnienia dziecka, swobodnie bujającego wśród majestatycznych ruin zamczyska.

Ona jednak milczała, utkwiwszy oczy w przestrzeń, obojętna, może wzruszona... ale wzruszenie nawet nie mogło uśpionej duszy obudzić.

Lupin poprosił o papier i ołówek. Na białej kartce wypisał ołówkiem: „813“.

Hrabia znowu się uśmiechnął.

— I z czego się hrabia śmieje! — zawołał Lupin podrażniony.

— Nic... nic... to mnie zajmuje... to bardzo mnie zajmuje...

Dziewczyna popatrzyła na podsuniętą sobie kartkę i z wyrazem roztargnienia odwróciła głowę.

— Jakoś to nie idzie — uśmiechnął się hrabia.

Lupin wypisał wyraz „Apoon“.

Z tą samą nieuwagą odniosła się Izilda do tego.

Nie zniechęcił się jednak i kilkakrotnie nakreślił te same litery, pozostawiając za każdym razem pomiędzy literami rozmaite przerwy. I za każdym też razem obserwował twarz młodej dziewczyny.

Nie drgnęła nawet, utkwiwszy oczy w papier z obojętnością niczem niezmąconą.

Lecz nagle schwyciła ołówek, wyrwała ostatnią kartkę z rąk Lupina i jak gdyby pod wpływem nagłego natchnienia, wpisała dwa „l“ w odstęp między literam.

Lupin zadrżał.

Oto był wyraz skończony: „Apollon“.

Izilda jednak nie puściła z rąk ołówka, ani kartki i z zaciśniętemi palcami, z skupioną twarzą starała się poddać rękę swą pod chwiejne rozkazy nie dołężnego swego mózgu.

Lupin zawisł w gorączkowem oczekiwaniu.



Zaczął oglądać salę metodą, której używał

Nakreśliła szybko, jakby pod wpływem hallucynacyi, jeden wyraz — wyraz „Diana“.

— Jeszcze... jeszcze! dalej! dalej! — wołał gwałtownie.

Skręciła palce dokoła ołówka, złamała czubek i drewnem ołówka nakreśliła wielkie „J“. Poczem bezsilna już i wyczerpana, wypuściła z ręki ołówek.

— Jeszcze jedno słowo! Musisz! — rozkazywał Lupin, chwytając ją za ramię.

Z oczu jej jednak zagasłych i obojętnych, wyczytał, że ten przelotny przebłysk wrażliwości już się więcej nie rozżarzy.

— Pójdźmy! — rzekł z westchnieniem.

Oddalał się już, gdy dziewczyna zaczęła biedz za nim i zastąpiła mu drogę. Przystanął.

— Czego chcesz, mała?

Wyciągnęła dłoń.

— Czego? pieniędzy? Czy to jej zwyczaj żebrać? — zagadnął hrabiego.

— Nie — odp... kieszeni dwie złote monety tego wcale nie ro...ie podzwaniać. Lupin spojrzał na

Izilda wyciągnęło monety francuskie, nowiuteń i jęła niemi radośn... nie b...cznie. Był... kie z stem...

— Skąd ty to masz? — zawołał Lupin, silnie poruszony. — Monety francuskie? Kto ci je dał?... I kiedy?... Czy dziś?... Mów!... Odpowiedz!

Wzruszył ramionami.

— Jaki też głupiec ze mnie! Jak gdyby ona mogła odpowiedzieć!... Mój drogi hrabio, niech mi pan pożyczy czterdzieści marek!... Dziękuję. Masz, Izildo, to dla ciebie!

Wzięła obie monety, zadzwoniła niemi o tamte w złożonej piąstce, poczem wyciągnąwszy ramię, wskazała na ruiny pałacu Odrodzenia; gest ten jakoby kierował się raczej ku lewemu skrzydłu i ku górze tego skrzydła.

Czy to był gest odruchowy? Czy też należało go uważać za podziękowanie za złote monety?...

Lupin spojrzał na hrabiego. Ten nie przestawał się uśmiechać.

— Czego to bydlę wciąż się uśmiecha? — myślał w duszy Lupin. — Myślałby kto, że on się ze mnie naśmiewa!

Na wszelki wypadek skierował kroki ku pałacowi, a za nim jego eskorta.

— — — — — — — —

Parter składał się z olbrzymich sal przyjęć. Na pierwszem piętrze od strony północnej ciągnęła się długa galerya, na którą wychodziło dwanaście pięknych sal, dokładnie podobnych wymiarów. Ta sama galerya powtarzała się na pierwszem piętrze, pokoi zaś było dwadzieścia cztery. A wszystko to było puste, zniszczone, w opłakanym stanie.

Wyższych pięter już nie było. Ogień je strawił.

Lupin godzinę całą chodził, dreptał, klusował niezmordowany, baczny na wszystko.

Gdy wieczór zaczął zapadać, pobiegł ku jednej z dwunastu sal pierwszego piętra, jakby ją sobie specyalnie upatrzył dla siebie tylko wiadomych powodów.

Zdziwił się bardzo, ujrzawszy tam fotel, świeżo widać przyniesiony, a w fotelu monarchę, spokojnie palącego cygaro.

Nie troszcząc się jego obecnością, zaczął oglądać salę metodą, której używał, to znaczy, dzieląc pokój na części i badając każdą z kolei.

Po jakich dwudziestu minutach odezwał się.

— Bardzobym prosił Najjaśniejszego Pana, by zechciał poruszyć się z miejsca. Jest tam kominek.

Monarcha pokręcił głową.

— Ten kominek jest taki, jak każdy kominek, a sala ta nie różni się od innych. Ja myślę, panie Lupin, że pan sobie zlekka zażartował ze mnie!

— Jakto, Najjaśniejszy Panie?

— Rzecz prosta. Jeżeli się co wie, to się tego nie szuka, ... szukasz i szukasz od dobrych dziesięciu godzin. Czy panu się nie zdaje, że natychmiastowy powrót do więzienia byłby wskazanym?

Lupin zdumiał się.

— Czyż Wasza Cesarska Mość nie oznaczył jutra w południe, jako ostatecznego terminu? Muszę przecież dokończyć mojego dzieła!

— Pańskiego dzieła! Ależ ono nie jest nawet zaczęte.

— Myli się Wasza Cesarska Mość...

— Daj mi pan dowód, a poczekam do jutra, do południa.

Lupin zastanowił się i poważnie zaczął mówić:

— Z dwunastu sal, które na tę galeryę wychodzą, każda inną ma nazwę, a pierwsza litera takiej nazwy oznacza drzwi każdej sali. Jedna z tych liter, mniej zniszczona ogniem niż inne, wpadła mi w oko. Obejrzałem zatem inne drzwi także i odnalazłem, zaledwie dostrzegalne, dalsze litery, wszystkie wyryte od strony galeryi ponad frontonami.

Otóż jedną z tych liter było D., pierwsza litera wyrazu Diana. Inną było A., pierwsza litera imienia Apollon. Te dwa imiona, są to imiona bóstw mytologicznych. Czyż inne litery miałyby ... podobne znaczenie? Znalazłem J.; od J. zaczyna się Jowisz, V. — pierwszą literą Venus, M. — M...kury, S. — Saturn i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Setna rocznica oswobodzenia Meksyku.

Na wrzesień bieżącego roku przypadła setna rocznica oswobodzenia Meksyku z pod jarzma hiszpańskiego, w całym kraju obchodzono ją też nader uroczyście.

Sto lat minęło właśnie od chwili, gdy we wrześniu 1810 wybuchło w całym kraju powstanie przeciw znienawidzonym rządom hiszpańskim, uciskającym kraj od czasów Korteza prawie przez lat trzysta. Na czele ruchu stanął duchowny Miguel Hidalgo y Costilla z Guanajuato, który w zwycięskim pochodzie posuwał się od miasta do miasta, znosząc wszędzie garnizony hiszpańskie. Już zdawało się, że i stolica wpadnie w ręce zwycięskich powstańców, gdy w tem nastąpiła zmiana w usposobieniu miast meksykańskich, nie mogących ukryć swego wstrętu do wojsk Hidalga, złożonych przeważnie z metysów i czerwonoskórców. Tymczasem i pomiędzy powstańcami wybuchły nieporozumienia, rozluźniła się karność, a czerwonoskórcy, którzy dotąd mężnie dotrzymywali placu, w nieładzie pierzchali z pola walki. Klęska następowała po klęsce, aż Hidalgo skutkiem zdrady dostał się w ręce Hiszpanów i na mocy wyroku sądu wojennego rozstrzelany został w dniu 27 lipca 1811 roku. Powstanie na chwilę stłumiono, po krótkim jednak czasie wybuchło ze zdwojoną siłą. Młody oficer stanął na czele sprzysiężenia, wypędził Hiszpanów z kraju i został pierwszym cesarzem Meksyku jako August I. Rządy jego nie trwały długo, miejsce monarchii zajęła rzeczpospolita pod prezydenturą jenerała Viktoryi.

Teraz rozpoczęły się dla Meksyku czasy srogich wojen domowych, zakończone aneksyą kraju przez Francyę i krótkimi rządami cesarza Maksymiliana. Po tragedyi w Queretaro został prezydentem Juarez, po nim Tejada. Następcą jego obrano w r. 1877 Porfiria Diaza, który do dnia dzisiejszego pełni obowiązki, wybierany kilkakrotnie na tak odpowiedzialne stanowisko.

Sędziwy jenerał cieszy się ogromną sympatyą Meksykańczyków, skorzystali też z przypadającej równocześnie ośmdziesiątej rocznicy jego urodzin, aby uczcić zasługi sędziwego męża stanu.

W uroczystościach narodowych wziął udział także i cesarz Wilhelm, starający się obecnie o względy państw południowo i środkowo-amerykańskich i nadesłał pomnik Aleksandra Humboldta, dłuta słynnego berlińskiego rzeźbiarza Ernesta Freese. Humboldt przed stu niespełna laty zbadał dokładnie Amerykę środkową, głównie zaś Meksyk, kolebkę amerykańskiej kultury.

Ofiarowany pomnik ustawiono w dniu 14 września przed biblioteką narodową w Meksyku.



Setna rocznica oswobodzenia Meksyku: Długoletni prezydent, jenerał Porfirio Diaz, który równocześnie obchodził ośmdziesiątą rocznicę urodzin.



Po przelocie Simplonu: Publiczność w Brig, oczekująca na wiadomość o wzlocie Chaveza.



Z życia Beduinów: Oryginalna zabawa ludowa Beduinów arabskich, nazywająca się „Held Up".



Po przelocie Simplonu: Turyści szwajcarscy, wypatrujący pojawienia się aeroplanu Chaveza.

Po przelocie Simplonu.

Tragiczna śmierć młodego, zaledwie dwudziestodwuletniego awiatora Gea Chaveza, wsławionego śmiałym lotem nad przepaściami i szczytami Simplonu, zajmuje dotąd uwagę porówni szerokich warstw jak kół fachowych. A imię dzielnego pioniera awiatyki zapisane będzie złotemi głoskami w rocznikach walki o zdobycie powietrza.

Zmarły przedwcześnie a tak tragicznie Chavez urodził się w Paryżu, ojciec zaś jego pochodził z Peru. Jako młodzieniec zdobył sobie duży rozgłos w sferach sportowych nadzwyczaj piękną grą tennisową. W ostatnich czasach poświęcił się awiatyce, a pierwsze kroki stawiał pod kierunkiem Farmana. Nie doznawszy znaczniejszego powodzenia w próbach z dwupłaszczyznowcami Farmana, przerzucił się do szkoły Bleriota i istotnie zdołał w krótkim bardzo czasie osiągnąć wspaniałe rezultaty, bijąc wszystkie rekordy wysokości wzlotem swym w Le Havre w dniu 9 września br., kiedy to osiągnął wysokość 2680 m. Wprost z Le Havre udał się Chavez do Brig w Szwajcaryi, by poczynić wstępne przygotowania do lotu ponad Alpami, o nagrodę 75.000 lirów, wyznaczoną dla zwycięscy przez wydawnictwo dziennika *Corriere del la Sera*.



Po przelocie Simplonu: Żandarmi szwajcarscy, pilnujący aeroplanu Chaveza w Brig.

Już pierwsza próba wzlotu ponad Simplon, podjęta przez Chaveza w Brig, wzbudziła podziw dla odwagi awiatora, zwłaszcza gdy się dowiedziano o szczegółach tej próbnej podróży i o niebezpieczeństwach, na jakie podczas niej był narażony. Szczęśliwie jednak zdołał Chavez niebezpieczeństwa ominąć i pomyślnie wylądować.

Po próbie upłynęło kilka dni wśród deszczów i słoty, Chavez więc nie mógł podjąć lotu. Dopiero w poniedziałek 19 września zdecydował się na wzlot.

Publiczność miejscowa i mnóstwo turystów, którzy zgromadzili się podówczas w małej szwajcarskiej miejscowości, wyruszyli z domów, by obaczyć śmiały lot i dzielnego awiatora.

Chavez wzbił się odrazu bardzo wysoko w górę i poszybował ku Simplonowi. Stracono go z oczu. Oczekiwano niecierpliwie wiadomości i w Brig i w Medyolanie, który był celem podróży, o losie Chaveza. Pierwsze wiadomości nadeszły pomyślne. Chavez przeleciał Simplon i wylądował w Domadossolla, przyczem odniósł kilka ran. Dopiero później przekonano się, że te niepozorne rany są śmiertelne i że katastrofa, której ofiarą padł Chavez, zakończy się śmiercią bohaterskiego lotnika.

Wrażenie, jakie wieść o całej katastrofie, a przedewszystkiem o śmierci Chaveza wywarła w kołach awiatorów, jest niesłychanie głębokie.



Wesele murzyńskie w Wiedniu: Trzy pary murzyńskie, zaślubione w ubiegłym tygodniu na wystawie łowieckiej w Wiedniu.



Pruska nagroda: Były dyrektor policyi lwowskiej Wilhelm Schechtel, odznaczony pruskim orderem.

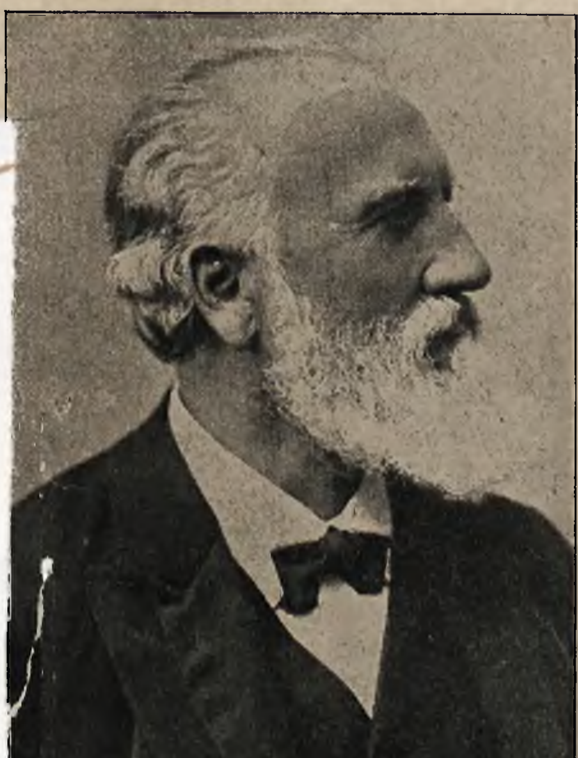


Polowanie na wieloryby: Statek rybacki koło wybrzeży Szpicbergu, holujący zabite wieloryby.

Wesele murzyńskie w Wiedniu.

Na wystawie łowieckiej w Wiedniu znajduje się między innemi dziwami cała osada murzyńska, złożona z kilkudziesięciu osób obojga płci. Choć wśród obcych i na obcej ziemi, zachowują oni troskliwie odwieczne swoje zwyczaje i tradycyjne obrzędy, i tem oraz egzotycznymi strojami budzą niemałą sensacyę wśród publiczności, tę część wystawy wiedeńskiej zwiedzającej.

Największą jednak sensacyę stanowiły urządzone przed paru dniami na terenie wystawy uroczyste zaślubiny trzech par murzyńskich. Trzy urocze „czarnogłowy“ znalazły wśród bawiących obecnie w Wiedniu murzynów godnych siebie kandydatów na mężów, a pragnąc jak najprędzej rozstać się ze stanem panieńskim, postanowiły nie czekać na powrót do ojczystych stron, lecz zaraz w Wiedniu połączyć się z ukochanymi węzłem małżeńskim.



goda między Wiedniem a Budapesztem: Burmistrz Wiednia dr. Neumayer.

Ceremonia zaślubin odbyła się wedle tradycyjgo rytuału szczepów murzyńskich, zgromadziła też .rzymie tłumy publiczności wiedeńskiej, która ciała przypatrzeć się niezwyczajnemu widowisku.

Rycina nasza przedstawia wszystkie trzy pary oblubieńców w dniu zaślubin, w oryginalnych, pięknych strojach.

Polowanie na wieloryby.

W morzach okolic podbiegunowych, tak północnych, jak południowych, żyją olbrzymy świata zwierzęcego, zwane powszechnie wielorybami, choć należą do gromady ssaków. Największe z nich, wieloryby polarne, dochodzą do 24 metrów długości i 150.000 kg. wagi, a poluje się na nie dla tłuszczu i płyt rogowych, zastępujących zęby, które stanowią fiszbin.

Głównym przedmiotem połowu jest wieloryb czyli wal grenlandzki ze skórą zupełnie nagą, ciemno-niebieskawą, która na starość czernieje. Żyje on w morzach północnych, począwszy od 64° szerokości geograficznej, zwykle towarzysko, większe w morzach otwartych i zimniejszych, mniejsze koło brzegów. Pływając, trzymają się blisko powierzchni wody, co 10--15 minut wynurzając się ponad jej zwierciadło celem zaczerpnięcia świeżego powietrza. Najdłużej potrafi wieloryb około czterdziestu minut przebywać pod wodą.

Jeden okaz średniej wielkości dostarcza około 24.000 kg. tranu i 1600 kg. fiszbinu, narody północne jedzą jego mięso, a żeber używają do budowy chat.

Połów wielorybów prowadzony był już w IX. wieku przez mieszkańców Norwegii, obecnie jest w ręku Anglików i Amerykanów. Corocznie wyrusza na łowy cała flotylla okrętów. Zwierzęta, wynurzające się na powierzchnię wody, rani się harpu-



Grobowiec Modrzejewskiej w Krakowie: Wzniesiony na cmentarzu rakowickim grobowiec śp. Heleny Modrzejewskiej-Chłapowskiej.

nami, osłabione zaś upływem krwi holuje się ku lądowi stałemu i wydobywa natychmiast tran i fiszbin.

Skutkiem prześladowania przez człowieka, a powolnego mnożenia się, wieloryby narażone są na zupełne wytępienie, liczba ich z roku na rok stale się zmniejsza i być może, niedługo już, staną one w rzędzie kolosów przedpotopowych, które znamy jedynie ze wzmianek w podręcznikach geologii.

Nowy grobowiec, mimo wielkiej prostoty, przedstawia się bardzo pięknie i świadczy chlubnie o twórcy swoim, budowniczym Bolesławie Opidzie, siostrzeńcu zmarłej artystki. Front tego grobowca zdobi medalion z bronzu z popiersiem Modrzejewskiej, dzieło znanego artysty-rzeźbiarza Stanisława Lewandowskiego. Ponad medalionem umieszczno napis łaciński: Speravit anima mea in Domino.



Krwawe dni w Berlinie: Konni policyanci, eskortujący wóz z węglami.

Illustracya nasza przedstawia statek rybacki, holujący kilka potężnych okazów podbiegunowej fauny.

Grobowiec Modrzejewskiej w Krakowie.

Zwłoki znakomitej artystki dramatycznej śp. Heleny Modrzejewskiej Chłapowskiej, zmarłej w zeszłym roku, przeniesiono przed kilku dniami z grobowca rodziny Bendów na krakowskim cmentarzu, gdzie dotychczas prowizorycznie spoczywały, do grobowca własnego, wzniesionego w głównej alei tego cmentarza, w pobliżu grobowca Matejki.

Przeniesienie zwłok śp. Modrzejewskiej do nowego grobowca odbyło się w obecności najbliższej rodziny pp. Chłapowskich, dyrektora Solskiego, artysty-rzeźbiarza Lewandowskiego i szczupłego grona publiczności.

Katastrofa na morzu.

Okolice półwyspu Alaski przedstawiają dla żeglarzy wiele niebezpieczeństw. Wulkaniczny charakter lądu stałego odbija się także i na morzu, które zasiane jest po prostu tysiącem wysp i wysepek, rozdzielonych między sobą bardzo wąski[...] śninami. Część ich w czasie przypływu po[...] zupełnie morskie fale, to też przejazd tę[...] nader niebezpieczny i bardzo często powod[...] tastrofy, o których w Europie dowiaduje[...] bardzo późno, okolica bowiem jest dzika i [...] bezludna. O pomocy dla rozbitków prawie i[...] nie można, chyba szczęśliwym trafem napo[...] jakiś przejeżdżający okręt, który na swój [...] przyjmie ofiary katastrofy.

Prawdopodobnie i o wypadku, jaki miał [...] kanadyjskiego towarzystwa „Princess May", [...] wiedzielibyśmy wcale, gdyby nie spotkanie się z ni[...] drugiego parowca tego samego towarzystwa „Princess Royal", który pospieszył mu z pomocą i zawiadomił o wypadku Amerykę, a za nią i Europę.

„Princess May" w nocy z 5 na 6 sierpnia br. skutkiem nader gęstej mgły, płynąc cieśniną pomiędzy małemi wysepkami, najechała na skały z taką siłą, że cofnięcie się było absolutnie niemożebnem, okręt poprostu zawisł w powietrzu. Telegrafem bez drutu rozpoczęto rozsyłać we wszystkie strony depesze z prośbą o pomoc; jedną z nich przejął okręt „Princess Royal", płynący na północ i pospieszył natychmiast z ratunkiem.

Kapitan unieruchomionego statku udał się na pokład „Princess Royal", gdzie zawiadomił o katastrofie i wspólnie z załogą omówił środki, mające na celu ratowanie okrętu i jego załogi. Próbowano rozmaitych sposobów, jednakowoż bez skutku; zdecydowano się nareszcie na rozsadzenie dynamitem skał, na których „Princess May" osiadła i to jednak nie doprowadziło na razie do rezultatu. Co do dalszych usiłowań brak wiadomości.

„Princess May" zbudowano przed mniej więcej piętnastu laty w warstatach francuskich. Jako okręt „Ha-Thing" pełniła ona początkowo służbę pocztową w Indochinach, w r. 1898 nabyło ją przewozowe towarzystwo kanadyjskie dla obsługiwania linii północnych.

Illustracya przedstawiająca okręt unieruchomiony na skale, sporządzona jest z fotografii nadesłanej przez jednego z pasażerów „Princess Royal". Gdy usiłowania wszelkie spełzły na niczem, „Princess Royal" podążyła w swoją drogę, pozostawiając „Princess May" swemu losowi.



Katastrofa na morzu: Kanadyjski okręt pocztowy „Princess May", unieruchomiony na morskiej skale.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

6

Było dla mnie więcej, niż jasnem, że ta rzeka złota nie wpłynęła do jednej kieszeni Stanga, szofera. Wprawdzie byłem na śladzie, ale tylko na śladzie śladu i sprawa ta przybierała rozmiary, jakich nawet nie przewidywałem.

Podziękowawszy uprzejmie panu Withworthowi za wszystkie informacye i wskazówki, pożegnałem się z nim i udałem się do biura policyi.

Rozdział VII.

— Czy zastałem pana naczelnego inspektora?— zapytałem drzemiącego na krześle policyanta.

— Pan naczelny inspektor zajęty, proszę pana.

— Sprawa jest bardzo pilna... proszę mu podać mój bilet wizytowy.

Policyant ziewnął, przetarł oczy, wziął mój bilet i znikł za drzwiami. Po chwili wrócił i oznajmił mrukliwie:

— Pan nadinspektor jest zajęty.

— Długo będzie trwało jego zajęcie?

— Nie wiem tego.

— Ale to sprawa bardzo nagląca — nalegałem.

Tym razem policyant nawet mi nie odpowiedział. Zrozumiałem z jego miny, że nadinspektor na widok mego biletu musiał dać folgę mało pochlebnym dla mnie uwagom, a teraz podwładny jego, sądząc, że jestem osobistością bez znaczenia, pozwalał sobie traktować mnie odpowiednio. Po trzech kwadransach oczekiwania jednakże, wpuszczono mnie do biura pana Coxcomb, dyrektora policyi w Melbourne. Był to człowiek już niemłody, o inteligentnym wyrazie, ale dotknięty dziwacznym nerwowym skurczem twarzy. Nadawało mu to wyraz pogardliwy, przyczem fałdował mu się policzek do tego stopnia, że chwilami wąs dotykał prawego ucha.

Wymieniłem mu nazwisko moje i zawód, ale przerwał mi przy pierwszych słowach.

— To wystarczy — rzekł — jakie wiadomości przynosi mi pan?

— Zajmowałem się sprawą w Green Park i...

Nadinspektor nieznacznie wzruszył ramionami.

— Mamy już swoje zdanie o tej sprawie, mój panie... i mam powody przypuszczać, że śledztwo zostanie umorzone... Nie było tam ani morderstwa ani kradzieży...

— Przepraszam! — przerwałem energicznie.

Urzędnik nie pozwolił mi dokończyć.

— Tak, ja wiem... pan należysz do prywatnej policyi, panie Dickson, a gdybyśmy wierzyli wszystkim raportom policyi prywatnej, musielibyśmy z połowę ludności miasta Malbourne zaaresztować.

— Wybacz pan — nalegałem — ale ja nie podzielam zdania pańskiego, o ile dotyczy sprawy w Green-Park...

— Bardzo mnie to martwi, łaskawy panie, ale my już co do tego mamy ustaloną opinię...

— A jeśli tam jednak spełniono zbrodnię?

— To pańskie przypuszczenie tylko.

— Ja nie przypuszczam, ja twierdzę.

I popędliwie ręką uderzyłem w stół, przy którym siedział.

— Mam tu raporty władz odnośnych — odpowiedział, patrząc na mnie z ironią; — pozwoli pan, że wezmę je pod uwagę.

I nadinspektor wstał, chcąc mnie pożegnać; ja jednakże nie tak łatwo daję się odprawić.

— Musi mnie pan wysłuchać — rzekłem stanowczo — tak jest, wysłucha mnie pan na mocy prawa, które przysługuje każdemu obywatelowi do składania świadectwa przed urzędnikiem... Jeżeli ja panu mówię: „pan Hugon Chancer został zamordowany“ — to dla tego, że mogę dać panu dowód na to, co twierdzę.

— Gdzież ten dowód, mój panie?

— Mam go tu, w kieszeni.

Tym razem urzędnik usiadł, a skurcz tak mu twarz wykrzywił, że koniec wąsa stanowczo sięgnął poza ucho. Czułem, że wciąż jeszcze wrogo jest usposobiony, ale zaimponował mu wreszcie mój ton.

— Słucham pana — rzekł.

— Bailey — zacząłem moje sprawozdanie — naczelny inspektor z Broad West, który pierwszy na miejscu przeprowadził oględziny, nie znalazł w mieszkaniu pana Hugona Chancera śladów włamania, a w szufladce jego sekretarzyka znalazł sumę stu ośmdziesięciu trzech funtów...

— Tak, w istocie, brzmi raport.

— Nie przeczę temu... ale i ja także zbadałem miejscowość... i odkryłem owszem ślady włamania i to w obecności mieszkańca Broad West, pana Gilberta Crawforda, który o tem zaświadczyć może pod przysięgą.

— Dobrze. I cóż dalej?

— Co do sumy stu ośmdziesięciu trzech funtów, to ta nie istnieje...

— Jakżeż to? Przecież ją widziano, o ile mi wiadomo...

— Tak, ale ona niema żadnej wartości...

— Nie rozumiem pana...

— To bardzo proste.

I dobywszy z kieszeni cztery sztuki złota, które pokazywałem panu Withworthowi, położyłem je na stole, mówiąc:

— To są fałszywe monety, panie nadinspektorze!

Urzędnik wziął do ręki monety, obmacał je i rzucił je o marmurowy przycisk, leżący na biurku.

— W istocie, te suwereny sfałszowane... ale panie Dickson, jaki pan stąd wyciąga wniosek?

— Że cała suma, znaleziona w sekretarzyku pana Hugona Chancera, składa się z fałszywej monety, gdyż te oto cztery sztuki wziąłem stamtąd na los trafu. Otóż to dowodzi, że albo pan Chancer stale używał fałszywej monety, co chyba jest nieprawdopodobnem, albo że złoczyńca, który sobie przywłaszczył walory nieboszczyka, zręcznie zastąpił je fałszywemi pieniądzmi, dla odwrócenia podejrzeń. Jak pan widzi, Bailey, pomimo swego węchu, dał się najzupełniej wziąć na ten gruby podstęp.

Urzędnik rozsiadł się lepiej w swoim fotelu.

— Niech pan mówi dalej — rzekł — ja nigdy się nie bronię przed wysłuchaniem prawdy... ja z obowiązku powinienem wysłuchać wszystkiego.

— Co więcej — ciągnąłem dalej — postarałem się o adres zastępcy prawnego pana Hugona Chancera, dzięki kopercie, znalezionej u zmarłego, a której także policya nie zauważyła. Tym zaufanym jest p. Withworth, mieszkający tu przy Fitzroy Street 18. Od niego dowiedziałem się, że p. Chancer posiadał różne akcye i obligacye, łącznej wartości czterechkroć tysięcy funtów, które trzymał u siebie w domu. A ponieważ tych papierów nie znaleziono, oczywistem jest, że ukradziono je, a na ich miejsce podsunięto ową sumkę w fałszywej monecie.

— Czy ten pan Withworth posiada spis i numery owych papierów?

— On nas obu wyprzedził; nim się u niego stawiłem, zdążył już porobić co do nich zastrzeżenia we wszystkich bankach światowych.

— Jeżeli tak, to nie omieszkamy przychwycić złodzieja. Taki nie będzie miał nic pilniejszego, jak starać się pozbyć papiery i zamienić je na złoto.

— I ja na to liczę.

Urzędnik życzliwie teraz popatrzył na mnie.

— Podoba mi się pański sposób rozumowania, panie Dickson. To pewna, że możesz pan być bardzo pożytecznym pomocnikiem policyi...

Złożyłem ukłon nie bez ironii. Naczelny inspektor zamyślił się przez chwilę, a potem szybko zaczął wertować w książce o szarej okładce.

— O, patrz pan — rzekł nagle — oto już wniesiono skargę ze strony Banku Australskiego...

Nastawiłem uszu.

— Tak... chodzi tu o papier wartościowy, będący pod zastrzeżeniem, a który jakaś osoba nieznana chciała spieniężyć u okienka w tymże banku.

— Czy mają rysopis nieznajomego?

— Ach! bardzo niedokładny!...

Nadinspektor zamyślił się znowu.

— Należałoby stwierdzić, czy to czasem nie stoi w związku z tą sprawą... Czy pan posiada wykaz numerów skradzionych papierów?

— Mam go, i owszem...

Porównawszy cyfry w moim notatniku i numer akcyi, obłożonej zastrzeżeniem, a ofiarowanej na sprzedaż, doszliśmy bez zwłoki czasu, że była to istotnie jedna z tych, które posiadał pan Chancer. Zacierałem ręce, nadinspektor zaś dumał.

— Tak, tak, bezwątpienia — rzekł po chwili— tu pomyłki być nie może... Trzeba odszukać tego nieznajomego... ale na nieszczęście już trochę za późno... Bank tu uchybił... powinien był przytrzymać sprzedającego zakwestyonowany papier... A zresztą mógł uciec, nim zawiadomiono policyę... Bądź co bądź, nie traćmy nadziei... on pewnie na tem nie poprzestanie i będzie się starał innym sposobem przehandlować gdzieś ten papier... To pan, panie Dickson, powinien śledzić tę osobistość i schwycić ją na gorącym uczynku.

Skinąłem głową na znak zgody.

— Może panu będą potrzebne numery skradzionych akcyi?

— Chciałem pana o to właśnie prosić, panie Dickson.

Położyłem znów notatnik mój na stole, a podczas gdy nadinspektor pisał, dodałem jeszcze:

— Co do mnie, zakładam jeszcze osobiście zastrzeżenie co do wszystkich suwerenów, naznaczonych wyryciem sześcioramiennej gwiazdki na szyi królowej. Wszystkie monety w posiadaniu pana Chancera były w ten sposób ostemplowane... Nie wiem, dla czego to robił, ale ta jego nieszkodliwa mania powinna nam oddać wielką przysługę...

— Zanotuję to sobie, panie Dickson; może to nam dopomódz w naszych poszukiwaniach.

Oddał mi notes i wstał.

— Jeszcze ostatnie słowo — rzekłem. — Mam poważne powody do przypuszczenia, że przy spełnianiu zbrodni w Green-Park nie jeden człowiek działał, ale cała banda złoczyńców. W tego rodzaju stowarzyszeniach — jak w każdej organizacyi — są wykonawcy i rozkazujący, ręce i głowa... Niech pan każe pilnować, panie nainspektorze, w gospodach nocnych, restauracyach, domach gry i klubach. Namiętność gry wydała więcej szalbierzy, fałszerzy i morderców, niż najsprytniejsi w świecie agenci.

Nadinspektor zaczął się uśmiechać.

— Tajnych ajentów w cywilnem przebraniu pomieszcza się wszędzie — obiecał.

Poczem z hałasem odsunął fotel. Tym razem znaczyło to, że mnie żegna. Ukłoniłem się i wyszedłem.

Z planu mojego wyjawiłem to tylko, co mi się wydało koniecznem w celu pozyskania pomocy władz urzędowych. A teraz szybko pobiegłem na pocztę.

Rozdział VIII.

Ajencya Pinkerton w Nowym Jorku jest niewątpliwie najpotężniejszą organizacyą poszukiwawczą na całym świecie. Zresztą jest ona ogólnie znaną. Wystarczy, gdy powiem, że bracia Pinkerton robią wielką konkurencyę policyi starego i owego świata i że w ciągu jednego dnia wydają w ręce sprawiedliwości więcej zbrodniarzy, niż wszystkie policye razem wzięte w ciągu miesiąca. Ajencya ta ma swoje odgałęzienia we wszystkich krajach świata; niema miasta ani biura handlowego, gdzieby nie utrzymywała jednego albo kilku swoich ajentów. Wszyscy złodzieje, oszuści, szantażyści i zbrodniarze, meldowani są w centralnej firmie w Nowym Jorku, gdzie się odnośne do nich notatki chowa, klasyfikuje porządnie i seryami układa, podług kategoryi przestępstw, jakim się oddają. W tem leży siła ajencyi Pinkerton.

Zawodowi rabusie cudzego mienia (złodzieje, włamywacze i złodzieje kieszonkowi) stanowią np. jedną seryę, fałszerze drugą, specyaliści od rozbijania kas żelaznych trzecią, złodzieje papierów wartościowych czwartą i podobnież szalbierze, podpalacze, mordercy, fałszerze monety i różni inni. Przewidziano u braci Pinkerton tyle kategoryi, ile jest sposobów krzywdzenia bliźniego z pogwałceniem prawa.

Łatwo więc uzyskać przy pomocy tej ajencyi nie tylko dane o zbrodniarzu, ale i wykaz prawdopodobnych wspólników. Wszyscy detektywi znają firmę Pinkerton w Nowym Jorku i tam się też zwracają, gdy tylko mają wskazówkę jakąś do dania. Usługi, które ona im oddaje, są nieocenione.

Z tym to potężnym pomocnikiem postanowiłem skomunikować się przy pomocy kabla. Zredagowałem długą depeszę cyfrowanem pismem, podług przyjętego przez wielką ajencyę klucza i wymieniłem numery i rodzaj papierów, ukradzionych panu Hugonowi Chancer. Podałem również dokładny rysopis Stanga i poleciłem poszukiwać w kierunku służących, złodziei; następnie, wysławszy depeszę, udałem się do Australskiego Banku. Dyrektor, którego znałem, otrzymawszy mój bilet, kazał mnie natychmiast prosić.

— Pan zapewne przychodzi — zaczął odrazu— w kwestyi tego doniesienia, które wnieśliśmy do policyi?

— Tak jest, szanowny panie.

— Otóż było tak, w dwóch słowach: jakaś osobistość, nie będąca bynajmniej naszym klijentem stawiła się u okienka, ażeby spieniężyć obligacye Newcastle Mining Comp., obligacyę, obłożoną zastrzeżeniem. Ja sam zaniosłem skargę. Bardzo żałuję, że dowiedziałem się zapóźno, gdy tamten już się oddalił, gdyż byłbym go kazał odrazu zatrzymać. Nasz młody współpracownik, niedoświadczony jeszcze, nie dość szybko zoryentował się w sytuacyi i pozwolił łotrowi ujść, niestety.

— Prawdziwa szkoda! — mruknąłem. — A czy przynajmniej ten pan zapamiętał, jak wyglądała owa osobistość?

— Każę go zawołać, jeśli pan chce z nim pomówić.

Wkrótce ukazał się elegancki, jasnowłosy młodzieniec. Temu na szczęście, choć nie dopisała przytomność umysłu, nie brakło dobrej pamięci.

— On raczej wyglądał na służącego — odpowiedział, gdym go zapytał o wygląd podejrzanego klienta.

— Czy był wysoki?

— Tak, dobrego wzrostu i silnie zbudowany.

— Młody?

— Mógł mieć lat ze trzydzieści.

— Blondyn?

— Raczej rudy.

— Czy miał jakie szczególniejsze cechy w wyglądzie swoim?

— Owszem; oczy szeroko rozsadzone, co mu nadawało wyraz trochę głupawy.

Był to wyraźny rysopis Stanga. Nie omyliłem się więc; ten szofer był istotnie mordercą, a co najmniej wspólnikiem morderców pana Hugona Chancera. Dowiedziałem się jeszcze kilku szczegółów; mianowicie, że okaziciel obligacyi miał na sobie granatowe ubranie i szary kapelusz, a w ręku trzymał laseczkę trzcinową i żółte, nie rozwinięte rękawiczki.

— I cóż on zrobił, gdy pan mu oświadczył, że obligacya ta obłożona jest zastrzeżeniem?

— Nic... wydał się zdumiony, a potem porwał laseczkę i rękawiczki, które tymczasem odłożył i uciekł, jak złodziej... zanim jeszcze zdążyłem kazać drzwi pozamykać.

Podziękowałem dyrektorowi, poradziłem po ojcowsku młodzieńcowi, by na inny raz decydował się prędzej i wyszedłem. W gruncie byłem bardzo rad. Dzięki niedoświadczeniu młodego urzędnika, Stang pozostawał dla mnie. Nie dostał się w ręce urzędowej policyi. Tak, ale co będzie teraz? czyż po tej przygodzie wróci on do willi Crawford?... Wsiadłem natychmiast do pociągu, odchodzącego do Broad West; noc już zapadała, gdy stanąłem na miejscu.

— O tej godzinie — pomyślałem — Stang albo jest w domu dla przyjęcia swego pana, albo już wcale nie wróci.

Udałem się szybko do małego lasku, w którym już raz się przebierałem, wysmarowałem sobie znowu twarz ową brzydką maścią i skierowałem się ku willi Crawford. Żadne światło nie świeciło w oknach willi; jedynie tylko słaby blask, podobny do poświaty księżyca, przenikał przez łukowe okna galeryi pierwszego piętra. Dotarłem do bocznej furtki od strony zabudowań gospodarskich i pociągnąłem za dzwonek.

— Stang! — wołałem równocześnie, przeciągając przez nos — Stang, czy jesteś tam?

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, zadzwoniłem ponownie, ale tym razem silniej. Wkońcu kroki czyjeś skrzypnęły na piasku i światło latarki zabłysło w alei.

— Czy to ty, Stang? — zapytał głos kobiecy. Poznałem biały fartuszek Betsy.

— Tak... proszę mi otworzyć.

Pokojówka cofnęła się na mój widok.

— Ależ to nie... — wyjąkała.

— Przepraszam — broniłem się — przepraszam, miss Betsy, ja jestem Ralf Stang, kuzyn Johna...

Dziewczyna poznała mnie odrazu.

— Ach tak, rozumiem — rzekła — poszliście razem oblewać wasze spotkanie i Stang w tej chwili leży zapewne, pijany jak bela, gdzieś w jakimś zaułku miasta...

— Jakto? — zadziwiłem się niby — to jeszcze go tu niema?

— Nie, napewno niema go... więc pan nie był z nim razem?

— Ależ nie... ja cały dzień strawiłem na poszukiwaniach za służbą w którymś z domów okolicznych...

Betsy była w bardzo złym humorze, nie tyle przeciw mnie, ile przeciw niedelikatnemu szoferowi, który tak nadużywał jej koleżeńskiej uprzejmości.

— I znowu wróci pijany, jak bydlę... — mruknęła — a tu pan Crawford wróci lada chwila... Byle go tylko nie spotkał!

Czuło się pomimo wszystko, że ma w gruncie rzeczy sympatyę dla tego rosłego draba. Wreszcie otworzyła furtkę, mówiąc:

— No wejdźże pan... nie mogę pana przecież zostawić na drodze... Ale wszystko jedno... Stang doprawdy za wiele sobie pozwala... Niech pan prędko idzie na górę i kładzie się spać... a przedewszystkiem, gdyby pan Crawford wołał, proszę nie odpowiadać... niech się pan ukryje w razie potrzeby... Coby on powiedział, gdyby wiedział, że wpuszcza się tu obcego człowieka podczas jego nieobecności?...

Podziękowałem Betsy i szybko poszedłem do pokoju Stanga. Zaledwie się tam znalazłem, zapaliłem kawałek świeczki, leżącej na nocnym stoliku mojego rzekomego kuzyna i podszedłem do rzędu



Przepraszam, miss Betsy, ja jestem Ralf Stang.

obuwia pod ścianą. Obejrzałem obydwie stojące tam pary; żadna nie była podzelowana. Oczywistem więc było, że buty, których ślady znalazłem w ogrodzie, na miejscu zbrodni, były to te, które ten nędznik miał dzisiaj na nogach. Zresztą, pomimo że zlustrowałem wszystkie rzeczy w pokoju Stanga, nie znalazłem nic ciekawego.

Już zamierzałem pójść, po namyśle jednak postanowiłem jeszcze poczekać, w nadziei, że może mój morderca wróci. Siadłem tedy na jego łóżku i zacząłem rozmyślać, obracając w głowie najrozmaitsze pomysły, gdy nagle skrzypnięcie drzwi przywołało mnie do rzeczywistości. To Stang powracał... pijany, jak bydlę... mało powiedzieć, pijany, jak stado bydląt... Potknął się na schodach i zaklął straszliwie. Zgasiłem świecę. Za chwilę wszedł do pokoju, omackiem poszukał łóżka i rzucił się na nie. Wtedy błysła mi nagła myśl: czy korzystając z tego rozstroju fizycznego i umysłowego, nie mógłbym wyciągnąć wyznań z tego nieprzytomnego? Zbliżyłem się więc do pijanicy i głosem grobowym rzekłem:

— Stang, wszystko się wydało... ratuj przyjaciół... ratuj tych, którzy wzięli resztę papierów... powiedz mi, jak się nazywają, a pobiegnę ich uprzedzić...

Stang poruszył się i zaczął bąkać, staczając się na podłogę:

— Papiery!... papiery!... Ach, to ten mały blondyn z banku wygadał się... Ja nie jestem złodziejem... nie... nie... przysięgam panu... oto jest ten papier... Ach, co za nieszczęście! oni go zatrzymali... ale ja go od... dam... ja to pa... nu przy... rze... kam!...

I zaczął wyć w sposób straszliwy.

— No cóż, powiesz? — zacząłem znowu swoje. — Skąd masz te papiery? Czy to ty zabiłeś pana Chancera?

— Pan Chancer... pan Chancer! — powtarzał za mną zachrypłym głosem.

W tej chwili weszła Betsy z lichtarzem w ręku, przywabiona tym hałasem.

— Niech mi panna pomoże położyć tego biednego Johna — zwróciłem się do niej — wódka go trochę rozmarzyła.

Mrucząc pod nosem pomogła mi ułożyć go na łóżku. Szybko teraz zdjąłem mu buciki i podczas gdy ona odwróciła się plecami, wsunąłem jeden z nich do kieszeni mego paltota.

— Nie wie o świecie! — mruknęła Betsy. — Do czego to podobne!

— Hm... jutro nie będzie ani znaku... A teraz panno Betsy, ja sobie pójdę... niech lepiej ten biedny John zostanie sam...

Skinęła mi głową i odprowadziwszy na dół, starannie furtkę zamknęła za mną.

Mój złodziej tedy zamknięty był w pułapce. Teraz tylko już należało nie pozwolić mu uciec. Odszukałem policyanta Mac Phersona i dawszy mu od siebie dwa funty, umieściłem go na wzgórku w pobliżu willi na straży.

IX.

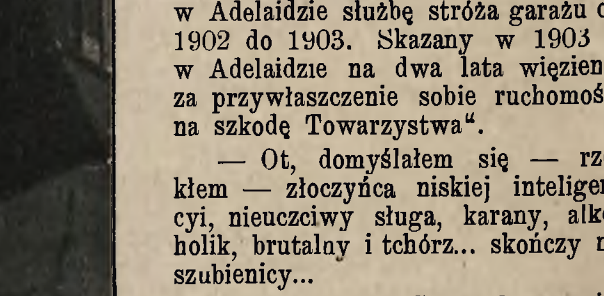
Nazajutrz rano mój Jim razem ze śniadaniem przyniósł mi telegram. — Była to odpowiedź nowojorskiej ajencyi Pinkertona: „Stang (John, Jerzy, Edward) lat trzydzieści dwa, pełniący zawód szofera przy automobilach, obecnie w Broad-West (Nowa Południowa Walia). Pełnił w Brisbane i w Adelaidzie służbę stróża garażu od 1902 do 1903. Skazany w 1903 r. w Adelaidzie na dwa lata więzienia za przywłaszczenie sobie ruchomości na szkodę Towarzystwa".

— Ot, domyślałem się — rzekłem — złoczyńca niskiej inteligencyi, nieuczciwy sługa, karany, alkoholik, brutalny i tchórz... skończy na szubienicy...

Już mnie teraz Stang dużo mniej interesował... pragnąłem odkryć jego wspólników. Ale jak dotrzeć aż do nich?

Zaaresztować Stanga i starać się wydrzeć mu ich imiona? Na tyle był podłym, że mógł ich wydać.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zmiany w dyrekcyach kolejowych.

Z powodu przedwczesnego zgonu nieodżałowanej pamięci śp. dr. Leona Soleckiego, zastępcy dyrektora kolei państwowych w Krakowie, nastąpią w najbliższych dniach zmiany w dyrekcyach kolejowych w Krakowie i Stanisławowie. Na opróżnione bowiem stanowisko zastępcy dyrektora kolei w Kra-



łiany w dyrekcyach kolejowych: Nowy zastępca dyre- kolei państwowych w Stanisławowie, dr. Ignacy Wróbel.

a-
e,
o- powołany zostaje dotychczasowy zastępca tora w Stanisławowie, p. Hołyński, jego zaś miejsce w Stanisławowie zajmie naczelnik oddziału prawniczego dyrekcyi krakowskiej, st. inspektor dr Ignacy Wróbel.

O ile powołanie dra Wróbla na wysokie i odpowiedzialne stanowisko wicedyrektora, powołanie m zaszczytniej świadczące o jego zdolnościach, dr. Wróbel jest człowiekiem bardzo młodym, poitano z szczerem zadowoleniem, o tyle z drugiej strony wśród licznych przyjaciół spotkało się ono z niełamanym żalem, ponieważ zaszczytny awans łączy się z przeniesieniem dra Wróbla z Krakowa do Stanisławowa.

Działalność nadinspektora dra Wróbla zarówno jako urzędnika, jak jako obywatela i działacza w życiu publicznem, zjednała mu ogólną sympatyę w bardzo szerokich kołach. Urzędnik bardzo wybitnych zdolności, doskonały znawca spraw administracyjnych kolejowych, ogromnie energiczny i pracowity, wysunął się szybko na czoło wśród urzędników krakowskiej dyrekcyi. Jako naczelnik oddziału prawniczego odznaczał się w stosunkach ze stronami ogromną uprzejmością i uczynnością. Obdarzony z natury wielkim temperamentem i rzutkością, znakomity mowca, brał bardzo żywy udział w życiu



Match „Cracovii" z Węgrami: Drużyna „Magyar Athleticai Club" z Budapesztu.

publicznem Krakowa. Szczególnie umiłowanem polem jego działalności była praca oświatowa wśród ludu wiejskiego. Urządzał też często wiece ludowe i zgromadzenia, inicyował odczyty i pogadanki po wsiach powiatu krakowskiego i chrzanowskiego a nawet w dalszych stronach, starając się podnieść przedewszystkiem narodową świadomość ludu polskiego, unikając zaś starannie działalności partyjnej.

Jako prezes Koła T. S. L. im. Kościuszki zasłużył się wielce około jego podniesienia, jako wiceprezes Krajowego Związku turystycznego przyczynił się niemało do oczyszczenia atmosfery w tej instytucyi i do usunięcia nadużyć, jakie się tam zakradły.

Godząc się z smutnym faktem, iż dr Wróbel opuszcza Kraków, opuszcza pole swej wydatnej i i pożytecznej działalności, życzymy mu szczerze, by na nowym terenie spotkał przynajmniej tyle sympatyi i uznania, ile go miał w Krakowie.

Zmiany w dyplomacyi rosyjskiej.

Od dłuższego już czasu pojawiały się w prasie politycznej wzmianki o ustąpieniu rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, Izwolskiego. Główną przyczyną ustąpienia mają być niepowodzenia zagranicznej polityki rosyjskiej i wzmożenie się wpływów austryackich dzięki taktownemu a energicznemu postępowaniu kierownika tamtejszej dyplomacyi, hr. Aehrenthala. Izwolski, aczkolwiek wytrawny polityk, nie mógł sprostać swemu austryackiemu koledze, wolał więc ustąpić i zrobić miejsce innemu, który będzie miał może szczęśliwszą rękę w kierowaniu sprawami zagranicznemi, wymagającemi wiele taktu i doświadczenia.

Pogłoski stały się obecnie rzeczywistością, Izwolski podał się do dymisyi i otrzymał ją. Następcą jego został Sazonow, zapisany chlubnie na kartach rosyjskiej dyplomacyi i odznaczający się wszelkiemi zaletami, jakich wymaga się od kierownika zagranicznej polityki potężnego mocarstwa.

Izwolski nie usuwa się jednak zupełnie od życia publicznego, ale obejmuje po śp. Nelidowie opróżnioną ambasadę w Paryżu. Planował on sobie objęcie stanowiska w Rzymie lub Londynie, ze względu jednak, że kwestya wschodnia wymaga specyalnej uwagi, ostatecznie zdecydował się na Paryż.

Nowe stanowisko, w każdym razie mniej odpowiedzialne, pozwoli byłemu ministrowi odpocząć po ciężkich trudach, z jakimi złączona była praca na dotychczasowym posterunku.



Match „Cracovii": z Węgrami: Drużyna „Cracovii".



Zmiany w dyplomacyi rosyjskiej: Były minister spraw zagranicznych Izwolski, zamianowany ambasadorem w Paryżu.

Od Wydawnictwa.

Z dniem dzisiejszym Wydawnictwo nasze przeniesione do nowego lokalu we własnym domu, Kraków XV., ul. Nowowiejska l. 83.

Kronika tygodniowa.

(Rozsportowane społeczeństwo. — I ja idę za duchem czasu. — Aeroplany. — O mojej żonie z tej racyi. — Atleci i Cyganiewicz. — Gdzie winowajca. — Football i porażki naszych klubów. — Wyścigi, totalizator i inne tego rodzaju różności.— Sejm. — Tymko Staruch w obronie konstytucyi. — W sprawie drożyzny. — Pochody demonstracyjne. — Chudzi burżuje i tłuści socyaliści. — Krakowska Rada miejska. — Apetyczna dyskusya i kanałowe kiwanie. — Rewolucya w Krakowie. — Proch i dynamit. — Wojna dziennikarska. — Awantury w Berlinie i polityczna maskarada w Malborgu. — Kronikarz cofa się z Zacisza).

Społeczeństwo nasze widocznie się degeneruje, skoro musi żyć ciągle pod wrażeniem jakichś walk, szarpiących nerwy, mocowań, rekordów awiatycznych, słowem rzeczy, o których się naszym przodkom ani nie śniło. Dziś doszło do tego, że zlekceważy cię pierwszy lepszy młodzian, umiejący grać w piłkę nożną, nie mówiąc nawet o takim, który bodaj widział na własne oczy aeroplan, ten nie odezwie się do ciebie ani słowa, tylko zmierzy cię piorunującym wzrokiem od stóp do głów, że aż serce przestanie bić w tobie z trwogi i wzruszenia.

Pisma codzienne, idąc za ogólnym duchem czasu, poświęcają sprawom sportowym tyle miejsca na swych łamach, ile niegdyś obracano na rozwikłanie najważniejszych spraw politycznych, w klubie, kawiarni i restauracyi nie mówi się o niczem, tylko o matchach i rekordach światowych. Na plantacyach mali chłopcy robią „bramki“ kasztanami w plecach i kapeluszach przechodniów, na podwórzach szkolnych miejsce piłki zajmuje bodaj czapka, słowem, gdzie się ruszysz prześladuje cię nowoczesna plaga, gorsza nawet, niż niegdyś „diabolo“. Ongiś groziło ci niebezpieczeństwo tylko z góry, teraz czyha na ciebie ze wszech stron.

Nie dziw się więc, zacny Czytelniku i ty nadobna Pani, że i ja na starość dałem się opanować temu duchowi i nie mogąc dla cierpień reumatycznych w kolanach nogami, bodaj piórem pójdę za ogólnym prądem i zajmę się sprawami sportowemi, o ile to dotyczy naszego stołecznego rozszerzonego i wyasfaltowanego miasta Krakowa.

Ze względu na nakazany przez gramatykę porządek alfabetyczny rozpoczynam, rzecz prosta, od aeroplanów, a czynię to z tem większą przyjemnością, że o tej sprawie nie mogę nic napisać, ponieważ Kraków wzdycha do nich tylko zdala, platonicznie. Mamy wprawdzie między naszymi współmieszkańcami kilku wynalazców na tem polu, żaden jednak dotąd nie latał w rzeczywistości, bo takich, którym się o lataniu śniło, mamy dość, jednym z nich jestem nawet i ja. Ilekroć później wieczorem wrócę do domu i przy akompaniamencie gderania mojej, tak zwanej „lepszej“ połowy, zmrużę oczy, zawsze mi się wydaje, jakobym bujał nad Krakowem na aeroplanie lub bodaj w łodzi Zeppelina, co ze względu na rozkopanie ulic miasta jest i dla zdrowia i dla butów nadzwyczaj korzystnem. — W tym wypadku przypominam bardzo Zeppelina, każda bowiem podróż napowietrzna kończy się zupełnem fiaskiem. Zdaje mi się, że spadam, budzę się i widzę obok siebie czcigodną moją połowicę, która, jakby gramofon, powtarza zawsze jedno i to samo:

— A widzisz! Zawsze ci mówię, że piwo wieczorem ci szkodzi, a ty nic na to! Dlatego to śpisz potem tak niespokojnie i ciągle tylko rzucasz się po łóżku. Gdybyś mnie słuchał, byłbyś daleko zdrowszym i miałbyś dziś już nie pięćdziesiąt siedm lat, ale przynajmniej ośmdziesiąt!

Wiem, że to uśmiecha się mojej żonusi, gdyż chętnie ujrzałaby się wolną, aby powtórnie zakosztować słodyczy małżeńskiego pożycia (wiadomo bowiem, że w starym piecu dyabli palą), zwłaszcza, że cyganka przepowiedziała mi swojego czasu, iż nie dożyję nawet siedmdziesiątki. Gdybym więc szedł za radą mego „kaprala“, już od lat dziesięciu byłbym na Rakowicach i nie byłbym nawet oglądał Wielkiego Krakowa wraz z jego przyjemnościami.

Widzieliśmy wprawdzie i w naszych murach aeroplan, a na nim Hieronymusa z Pragi, wehikuł był jednak zakatarzony skutkiem wilgoci na Błoniach i nie funkcyonował tak, jakby sobie życzyć należało. Kopca Kościuszki byłby nie przefrunął, a tem mniej Simplonu.

Natomiast interesujemy się nader rekordami zagranicznymi i razem z Medyolańczykami opłakujemy zgon Chaveza i katastrofy innych żeglarzy napowietrznych, ciesząc się równocześnie, że nieszczęście to spotkało obcego, a nie żadnego z pośród nas.

Kwestya aeroplanów w Krakowie przedstawia się więc bardzo mizernie.

W alfabetycznym porządku idą następnie atleci i Cyganiewicz. Ludność Krakowa podzieliła się obecnie na dwa obozy, zapatrujące się na kwestyę mocowań z dwu zupełnie przeciwnych biegunów. Jedni są święcie przekonani, że zapasy odbywają się zupełnie seryo, inni są zdania, że to blaga z góry już ułożona. Na tem tle wywiązała się i polemika dziennikarska na szpaltach naszych pism, winę jednak, według mego zdania, ponosi nie Cyganiewicz, ale przedsiębiorstwo, które nie upewniło się, czy produkcye przyjdą do skutku, a tymczasem reklamowało je pełną parą. Na korzyść naszego championa przemawiać powinno, że w dwu po sobie następujących spotkaniach poniósł porażkę, gdyby zaś było to już z góry ułożonem, kto ma zwyciężyć, z pewnością przewaga byłaby została po jego stronie, aby nie utracił sławy, jaką się cieszył między nami.

Wogóle stwierdzić należy, że zainteresowanie przebiegiem mocowań jest w bieżącym sezonie o wiele słabsze, niż po inne lata, przyczyniają się do tego zapewne zbyt wysokie ceny wstępu i ogólna bieda.

Z kolei idzie „football“ czyli piłka nożna, o której już na wstępie wspominałem, ograniczę się więc tylko do zaznaczenia, że matche i „Cracovii“ i „Wisły“ z obcymi klubami kończą się zwykle porażką naszych. Leje się łzy nad upadkiem naszego rycerskiego ducha, narzeka się na niewłaściwą grę przeciwnika, z zapałem jednak goni się na Błonia, ilekroć doniosą afisze, że znowu nogi będą w robocie, Prym w zajęciu się sportem trzyma „Czas“, który z konserwatywnego punktu widzenia powinienby właśnie być innego zdania.

Wyścigi zajmują nas coraz słabiej, rycerskie galopy na krakowskim torze cieszą się coraz mniejszą wziętością, jeszcze totalizator jakoś potrafi zainteresować publiczność, czego dowodem prosperowanie firmy Lackenbachera, która założyła nawet swą filię w Krakowie. Na te ciężkie czasy warto podać rękę szczęściu... a nuż się uda!?

Rowery wychodzą powoli z mody, ustępując miejsca automobilom, na które znowu nie każdy może sobie pozwolić, kosztują bowiem zbyt drogo. Gramofony zeszły na bardzo prozaiczne tory, służąc tylko do zabawiania gości w trzeciorzędnych jadłodajniach.

Tak mniejwięcej przedstawia się życie sportowe Wielkiego Krakowa w ostatnich czasach, niekiedy tylko przerywa je jakiś gwałtowniejszy wybuch, jak np. kampania „Naprzodu“ przeciw Cyganiewiczowi i jego odpowiedź, jest to jednak w każdym razie tylko burza w szklance wody, mogąca mieć przecież tę konsekwencyę, iż obrażony na Kraków siłacz już więcej nie będzie występować na ziemiach polskich.

Daleko żywszem tętnem bije życie sportowe we Lwowie, gdzie odbywają się właśnie wyścigi wraz z totalizatorem, oraz obrady sejmu krajowego, dające pole popisu nieśmiertelnemu humoryście ukraińskiemu Tymkowi Staruchowi. O debatach nad reformą wyborczą i wspominać nie warto, różne bowiem partye polityczne zrobiły sobie sport z tego, by o ile możności odwlec lub zupełnie sparaliżować wprowadzenie jej w życie. Do grabarzy, zajętych przy tym pogrzebie należą niestety i przedstawiciele stronnictw, mających ochotę zwać się postępowemi.

Ogromnie burzliwą była dyskusya nad tem, czy ruskie mowy, wygłoszone w sejmie, mają być w sprawozdaniach drukowane łacińskiemi czcionkami, czy też kirylicą. Poseł Lewicki był zdania, by je drukować ruskiemi głoskami, nie uwieczni się wówczas naiwności niektórych Ukraińców, Polacy bowiem tych czcionek nie znają, nie będą więc wiedzieć, o co im chodzi. Pan Staruch skorzystał ze sposobności i popisywał się znowu swą polityczną dojrzałością, utrzymując, że wezwanie przez marszałka, by w czasie posiedzenia zachowywał się przyzwoicie, jest naruszeniem konstytucyi!

Biedna ta konstytucya, jeśli ma takich obrońców!

Pan poseł Makuch powtarzał swą zwykłą śpiewkę o ucisku Ukraińców przez Polaków, tak to już jednak się osłuchało, iż nie robi wcale oczekiwanego wrażenia.

Sejm zajmuje się także sprawą drożyzny środków spożywczych, do czego dążą nagłe wnioski w sprawie niedopuszczania bydła i mięsa zagranicznego w granice państwa. Zdania są tu podzielone, jedni z posłów są za tem, inni przeciw, twierdząc, że bez mięsa wołowego możemy się bardzo łatwo obejść, zaczyna się przecież sezon polowania na jące, kto ma więc pieniądze, mięsa mu nie brak

W sprawie drożyzny proponują stronnictwa pochody demonstracyjne, podobne do urządzonego onegdaj we Wiedniu, w którym prócz socyalistów wzięli udział i różni burżuje. U nas pochód taki byłby bardzo interesujący, zwłaszcza, że socyaliści są po większej części tłuści, inne zaś frakcye polityczne „tuczące się“ rzekomo „krwią proletaryatu“, są przeważnie zupełnie chude.

I krakowska Rada miejska na pierwszem swem powakacyjnem posiedzeniu zajmowała się sprawą drożyzny i powzięła w tym kierunku odpowiednie wnioski. Pan dr. Wasung tak barwnie i apetycznie opowiadał o wrażeniach ze swej podróży do Tryestu, dokąd jeżdżono celem spróbowania argentyńskiego mięsa, aż wszyscy radcy oblizywali palce, a kilku głodomorów, przysłuchujących się z galeryi „pożywnej“ dyskusyi ze wzruszenia omdlało. Postanowiono zażądać stanowczo, by i Kraków należał do rzędu tych szczęśliwych miast, którym danem będzie raczenie się zamorskimi przysmakami, czy jednak Wysoki Rząd usłucha tego głosu „wołającego na puszczy“, jeszcze nie wiadomo!

Przy tej sposobności dostało się po uszach i panu Bienerthowi, który dąży do zabagnienia sprawy kanałowej. Referent, dr. Konopiński, postawił wniosek, aby domagać się stanowczo rozpoczęcia budowy kanałów i to w najbliższej już przyszłości, a Rada miejska, podzielając to zdanie, przychyliła się do niego i jednogłośnie uchwaliła nakiwać centralnemu Rządowi... oby tylko nie palcem w bucie, choć prawdę mówiący z owych autonomicznych „kiwań“, nic sobie we Wiedniu nie robią, wychodząc ze zdania „dziad swoje, a baba swoje“.

Gwałtowne natomiast poruszenie w całym starym i spokojnym Krakowie wywołała wiadomość o odkryciu w Krakowie akademii bojowej i głównego gniazda rewolucyonistów i anarchistów, przechowujących w szafach między bielizną zapasy dynamitu. Każdy w myśli widział się już wysadzonym w powietrze, pokazało się jednak, że nie by to dynamit, jeno proch strzelniczy, którego odno śny bojowiec używał w celach leczniczych, co ła two każdy, znający medycynę ludową, zrozumi zwłaszcza że wszyscy podejrzani są ludźmi mł dymi.

Odkrycie to narobiło wielkiego rumoru, telegraf i telefon aż spociły się z nadmiernej pracy, w rezultacie pokazało się, że „góra mysz zrodziła“ i że możemy spać całkiem spokojnie, rewolucya Krakowowi, na razie przynajmniej, nie grozi. „Naprzód“ i „Czas“ przejechały się przy tej sposobności po „Nowej Reformie“, która naturalnie nie pozostała dłużną odpowiedzi, mieliśmy więc kawałeczek woj ny, choć wcale porządkowi społecznemu, ani równowadze politycznej Europy nie zagrażającej, powoli przechodzimy więc nad nią do porządku dziennego.

Daleko gorzej dzieje się w „państwie bojaźni bożej i dobrych obyczajów“. Tam rewolucyonistów wprawdzie nie przyłapano, mimo to wybuchły krwawe rozruchy, rozdmuchane jeszcze przez „taktowną“ policyę pruską do niebywałych rozmiarów. — Okroiło się przy tem i zagranicznym dziennikom z których jeden poczuł na sobie „energię“ policyj nego pałasza. Cesarz Wilhelm po powrocie z poli tycznej wędrówki niemile był tem dotknięty, ni wygłosił też żadnej mowy z tego powodu, owszem cofnął się w zacisze domowego ogniska i tam przy gotowuje program historyczno politycznej masakry jaka ma się odbyć w Malborgu w sześćsetna rocznicę sprowadzenia zakonu niemieckiego na pół noc. Czekajmy cierpliwie, a z wymownych ust do wiemy się, jakie to błogie skutki miało dla Polsk i całej Europy. Tego roku wspominano wprawdzi o Krzyżakach, ponieważ jednak zabierali głos tylk polscy szowiniści, trzeba posłuchać, co powie „bez stronny“ mowca, umiejący nawet poprawiać hi storyę.

Cesarz, jak wspominałem, cofnął się w zacisze niżej podpisany kronikarz czyni zupełnie przeciwni i z Zacisza przenosi się na ulicę Nowowie ską l. 83, o czem swych zwolenników niniejszem ma zaszczyt zawiadomić, bo to teraz w modzie

X.

Wyścigi cyklistów w Piotrkowie.

(Do illustracyi na str. 10).

W ostatnich dniach września odbyły się w Piotrkowie Trybunalskim w Królestwie Polskiem doroczne jesienne wyścigi cyklistów, przy współudziale wielu członków zaprzyjaźnionych towarzystw cyklistów w Warszawie, Łodzi i Pabjanicach. Prócz cyklistów z Królestwa Polskiego, wzięli w zawodach udział cykliści z Księstwa Poznańskiego.

Wyścigi były wielce interesujące i świadczyły o dużym postępie i rozwoju pięknego tego sportu.

Odznaczenie zasłużonego urzędnika.

(Do illustracyi na str. 3.)

Z okazyi przejścia w stan spoczynku, otrzymał wiceprezydent dyrekcyi poczt i telegrafów we Lwowie, radca dworu Ludwik Pikor, krzyż Leopolda, jako odznaczenie za wieloletnią a pełną zasług pracę.

Wiceprezydent Pikor cieszył się we Lwowie zasłużoną opinią jednego z najdzielniejszych urzędników a z powodu zalet charakteru jest ogólnie lubiany i szanowany.

Tragiczny zgon adwokata warszawskiego.

(Do illustracyi na str. 4).

Jeden z najbardziej znanych adwokatów warszawskich, Julian Krzycki, zakończył w ubiegłym tygodniu życie w Sannikach, w majątku pp. Dziewulskich.

Sp. Krzycki należał do bardzo wybitnych obrońców w sprawach karnych. Był bowiem niepospolitym mówcą a przytem doskonałym znawcą prawa karnego. Jego wystąpienia w różnych sprawach politycznych, w których występował w roli obrońcy, zjednały mu i imię bardzo głośne i ogólną sympatyę.

Jako człowiek prawego na wskróś charakteru, wielkich zalet towarzyskich, nadzwyczaj uprzejmy i uczynny, cieszył się powszechnym mirem w szerokich kołach Warszawy.

W ostatnich czasach popadł mecenas Krzycki w stan silnego rozdrażnienia nerwów, które mimo opieki lekarskiej i mimo wyjazdu na wieś, daleko od gwaru i spraw wielkomiejskich, nietylko nie ustępowało, lecz przybierało coraz groźniejsze rozmiary. Ostatecznie pod wpływem ciężkiej neurastenii, Krzycki odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, skorzystawszy z chwilowej nieobecności pp. Dziewulskich, którzy otaczali go w swym domu serdeczną opieką.

Wiadomość o tragicznej śmierci śp. Krzyckiego wywołała w Warszawie silne wrażenie.

Zgoda między Wiedniem a Budapesztem.

(Do illustracyi na tr. 9).

Akcya magistratu miasta Wiednia w sprawie drożyzny mięsa przez dowóz mięsa argentyńskiego spotkała się z opozycyą ze strony Węgrów, którzy musi się liczyć i grają tę samą rolę, co Rusini w Galicyi, to jest narzekają na swoje upośledzenie i krzywdę, stawiają coraz dalej idące żądania, w zamian zaś, gdzie i kiedy tylko mogą, działają na niekorzyść drugiej połowy monarchii.

W związku z tem stanowiskiem magistratu budapeszteńskiego stoi podróż burmistrza Wiednia, dra Neumayera, który w towarzystwie wiceburmistrza Hossa wyjechał do Budapesztu w odwiedziny do tamtejszego zarządu miejskiego. Ma to być akt



Wiejska szkoła sztucznych kwiatów: Dziewczęta zajęte pracą w szkole.

z zasady paraliżują wszystkie usiłowania drugiej połowy monarchii, o ile one nie przynoszą im korzyści. Chodziło głównie o to, aby i gmina budapeszteńska poszła ręka w rękę z przedstawicielami Wiednia i oświadczyła się za dowozem mięsa amerykańskiego. Tymczasem Budapeszt nie przychylił się do życzenia Wiedeńczyków, gdyż tam podobno brak mięsa uczuć się nie daje. We Wiedniu nastało rozczarowanie, spodziewano się bowiem, że Węgrzy nie będą nic mieli przciw temu i choć w ten sposób odwzajemnią się, za tyle dowodów kurtuazyi jakich doznali i doznają ze strony drugiej stolicy. Niestety, Węgrzy wiedzą o tem, że z nimi Austrya grzeczności, jakiej dawno już nie praktykowano i która też spotkała się z naganą większości wiedeńczyków, w gruncie zaś rzeczy stoi ona głównie w związku z akcyą, zainicyowaną przez zarząd miasta Wiednia w sprawie drożyzny mięsa.

Czy wobec stanowiska opozycyjnego Węgrów zda się na co ten krok burmistrza wiedeńskiego, na razie przewidzieć nie można.

Natomiast przewidzieć można z większem prawdopodobieństwem, iż wycieczka dr. Neumayera do Budapesztu spowoduje jego ustąpienie z burmistrzostwa.



Wiejska szkoła sztucznych kwiatów: Uczenice szkoły, zarząd jej i delegaci Ligi pomocy przemysłowej. 1. ks. Wojtowicz, przewodniczący komitetu w Dawidowie; 2. p. Dobrowolska, kierowniczka szkoły.

Match „Cracovii“ z Węgrami.

(Do illustracyi na str. 13).

Najbardziej — zdaje się — interesujący w tym sezonie i najpiękniejszy dotychczas match footballowy rozegrano ubiegłej niedzieli na boisku pozlotowem. Do zawodów stanęła drużyna „Cracovii“ i „Magyar Athleticai Club“ z Budapesztu. Goście przybyli do Krakowa poprzedzeni sławą jednego z najlepszych i najsympatyczniejszych klubów węgierskich, którego grę cechuje przedewszystkiem poprawność, wolna od wszelkiej brutalności, doskonała kombinacya i ogromny temperament. To też zapowiedź spotkania „Cracovii“ z tak doskonałym klubem ściągnęła na trybuny boiska ogromne tłumy publiczności, która z coraz większem zainteresowaniem śledzi rozwój gry naszych klubów. Tak liczny udział publiczności w widowisku sportowem, to objaw bardzo dodatni i bardzo sympatyczny.

Sława klubu budapeszteńskiego nie okazała się wcale przesadzoną. Że zaś „Cracovia“ zrobiła w ostatnich tygodniach znaczne postępy w grze, że osiągnęła bardzo dobrą formę, więc spotkanie tych dwu drużyn przyniosło szereg momentów wielce interesujących. Że skończyło się porażką graczów krakowskich w stosunku 3:0 (1:0), nie przynosi ujmy naszemu klubowi, który nie osiągnął jeszcze takiej formy, by mógł zwyciężać kluby pierwszoklasowe. Na pochwałę „Cracovii“ należy stwierdzić, że trzymała się przez cały czas bardzo dzielnie, że z wielką przytomnością odpierała doskonałe atkaki Węgrów, oraz że sama atakowała wielokrotnie i energicznie i skutecznie.

Ostatni ten match wskazuje, że dalsza, byle sumienna i gorliwa praca nad trainingiem całej drużyny, może już w najbliższym czasie postawić „Cracovię“ wśród drużyn pierwszorzędnych, czego jej szczerze życzymy.



Henryk Miller.

Nowa kreacya dyr. Solskiego.

Miejski teatr krakowski wystawił w tym sezonie dramat Tołstoja „Śmierć Iwana Groźnego“, sztukę graną wprawdzie u nas przed jakiemi trzydziestu laty, ale dzisiejszej publiczności nieznaną, a mimo pewnej nużącej rozwlekłości doskonałą i w jaskrawych barwach przedstawiającą pamiętną epokę rządów Iwana Groźnego.

Sztukę Tołstoja trzyma przedewszystkiem postać tytułowa i od jej wykonania zależy powodzenie całej sztuki. U nas rolę tę objął dyrektor Solski i stworzył nowe arcydzieło sztuki aktorskiej. Pojąwszy doskonale, dzięki nadzwyczajnej swej intuicyi, charakter tej niezwykłej bądź co bądź indywidualności, tchnął w postać Iwana całą pełnię życia, dał jej rysunek nadzwyczaj wyrazisty, podkreślił z właściwą sobie maestryą wszystkie momenty, które mogły uwydatnić sylwetę władcy Rosyi. W charakterystyce ogromnie staranny, wzorował się na najlepszym portrecie Iwana Groźnego i dał maskę nadzwyczaj trafną.

Dzięki bardzo sumiennej reżyseryi i doskonałej grze całego zespołu, sztuka Tołstoja osiągnęła w Krakowie powodzenie duże i utrzyma się z pewnością długo w repertuarze teatru.

Wiejska szkoła kwiatów sztucznych.

Działalność Ligi pomocy przemysłowej znajduje coraz nowe, coraz szersze pola pracy i coraz bliższą zdaje się chwila, kiedy spełnią się marzenia jej założycieli.

Ostatnio zwróciła „Liga“ uwagę na niewyzyskaną dotychczas na większą skalę gałąź przemysłu domowego, mianowicie na wyrób sztucznych kwiatów i postanowiła przemysł ten w kraju naszym wytworzyć. Pierwszy krok właśnie w tym celu uczyniono. Oto w tych dniach odbyło się w Dawidowie pod Lwowem uroczyste otwarcie wiejskiej szkoły i pracowni kwiatów sztucznych, założonej staraniem Ligi pomocy przemysłowej przy udziale delegatów tejże Ligi, przewodniczącego miejscowego Komitetu filialnego Pomocy przemysłowej ks. Wojtowicza, kierowniczki szkoły i delegatów Rady gminnej. Ró-





Nowa kreacya dyr. Solskiego: Dyrektor Ludwik Solski w roli Iwana Groźnego.

wnocześnie wypłacono pierwsze zarobki robotnicom a zdolniejszym i gorliwszym udzielono skromnych premii.

Zamówienia na kwiaty sztuczne i wieńce napływają coraz liczniej z całego kraju, a zbliżający się dzień zaduszny będzie pierwszym, w którym rodziny drogich zmarłych mogą przybrać ich mogiły kwiatami i wieńcami w kraju wykonanymi, dzięki czemu i grosz za nie w kraju pozostanie.



Irena Ruszczycówna.

Zamieszczamy dziś dwa zdjęcia, z których jedno przedstawia robotnice podczas pracy, drugie grupę okolicznościową z zarządem pracowni i delegatami Ligi pomocy przemysłowej.

Irena Ruszczycówna.

Teatr krakowski pozyskał nową i — powiedzmy odrazu — doskonałą siłę w osobie panny Ireny Ruszczycówny, artystki dramatycznej bardzo inteligentnej i obdarzonej nadzwyczaj korzystnymi warunkami zewnętrznymi.

Publiczność krakowska zapoznała się z p. Ruszczycówną w dramacie Przybyszewskiego „Złote runo“, w którym odegrała trudną i odpowiedzialną rolę Inki. Już w tej roli znalazła młoda artystka szerokie pole popisu i mogła wykazać obszerną skalę swego talentu. Obyta widocznie dobrze ze sceną, poruszała się na niej z zupełną swobodą, uwydatniając zręcznie smukłość postaci i gibkość ruchów. Głos posiada niski, bardzo głęboki i dźwięczny, a włada nim doskonale. Gra twarzy a przedewszystkiem dużych i pięknych oczu ogromnie wyrazista, dykcya czysta i piękna, obok zupełnie trafnego ujęcia i uwydatnienia charakteru Inki, złożyły się na całość bardzo udatną i rokującą p. Ruszczycównej piękną przyszłość.

Do Krakowa przybyła p. Ruszczycówna z Warszawy, po paroletniej pracy na tamtejszych scenach. Repertuar ma obszerny, zwłaszcza w zakresie ról dramatycznych współczesnych. Jest też nadzwyczaj pożądanym nabytkiem dla sceny teatru krakowskiego.

Henryk Miller.

Sympatyczny pieśniarz „Momusa“ warszawskiego, Henryk Miller, którego głos barytonowy tak ogólnie się podobał publiczności krakowskiej w czasie pobytu „Momusa“ w naszem mieście, został zaangażowany do teatru we Lwowie, gdzie znajdzie znacznie szersze i sympatyczniejsze pole do rozwinięcia swego talentu i pięknego istotnie głosu.

Pan Miller, choć śpiewak i aktor młody, ma wszelkie warunki, by zyskać rychło sympatye publiczności i uznanie krytyki. Prócz głosu bowiem, z natury pięknego i dźwięcznego, posiada wyjątkowo wyborną dykcyę, oraz wybitną inteligencyę.

Pierwszy jego występ w tytułowej roli operetki „Hrabia Luksemburg“ powiódł się doskonale i świadczy jak najlepiej o talencie tego śpiewaka. Jeszcze większych sukcesów oczekiwać może p. Miller w operze, która będzie właściwym terenem jego artystycznej działalności.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 39.

Szarada: Nowości Illustrowane.

Kwadrat magiczny: Esperanto.

Łamigłówka:

Noc z rankiem dwoje kochanków się goni
A nigdy się tu dogonić nie mogą,
Aż się doścignią na wieczności błoni,
Przed Stwórcą staną zadyszani, z trwogą.

Zadanie do przestawienia: Natura ciągnie wilka do lasu.

Łamigłówka literacka: Bolesław Prus.

Zadanie do przestawienia: Niema róży bez kolców.

Zadanie do przestawienia: Berlin, Londyn, Paryż, Rzym, Wiedeń.

Rebus: Teraz grosz dla wielu stanowi jedyny cel życia.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: D. Sedyńska Kraków, K. Radomski Lwów, M. Raczyńska Jasło, M. Planecka Kraków, J Łopatkiewicz Sambor, M. Rogozińska Jaworów, F. Gebhardt Kraków, Z. Kozakiewicz Tarnów, H. Żebrowski Radom, J. Gwozdecki Głogów, H. Mróz Żabno, K. Czyński Lwów, R. Singer Kołomyja, A. Bilński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, O. Górkowa Lwów, J. Raciborski Krosno, J. Osadziński Warszawa, J. Potocka Sambor, H. Steinberg Jasło, A. Łapiński Rzeszów, B. Bartuszek Tarnów, H. Pick Wrocław, J. Lachowska Zakopane, M. Lipińska Sanok, K Radoszewski Podgórze, M. Lemisyewska Kołomyja, H. Armatys Kraków, J. Czarkowski Rohatyn, J. Ohrenstein Gorlice, S Linderbaum Czerniowce, H. Borkowski Kraków, M. Glińka Kałusz, J. Stępień Sanok, H. Włodek Lwów, K. Brzostowski Krosno, J. Barnat Rzeszów, J. Swrski Radom, W. Kwaśniewski Sandomierz, W. Bandrowski Ostrów, J. Sawliński Lwów, H. Engelberg Kołomyja, C. Wang Radomyśl, J. Zörner Mielec, H. Oskner Staszów, M. Karpen Radom, W. Ostrowski Warszawa, H. Więckowska Sanok, J. Wałęga Żabno, J. Kretowicz Lisko. M. Ciszewska Rozwadów, H Waligórska Wiedeń, R. Kohn Końskie, J. Kołodziejski Rzeszów, H. Klamnt Krosno, W. Klappholz Rzeszów, H. Piątek Podwołoczyska, J. Jahoda Cieszyn, H. Bieńkowski Wiedeń, J. Stiller Sanok, M. Wolański Bohorodczany, W. Aleksandrowicz Jawornik, H Zaplatalska Zakopane, W. Thun Płock, K. Kalinowska Petersburg, M. Daszyński Złoczów, J. Lorber Żółkiew, W. Olszewski Lwów, J. Siekierczyński Zator, H. Wyka Sanok, J. Zachara Drohobycz, M. Stopień Budapeszt, W. Radoń Kraków, J. Wasiński Warszawa, W. Kopczyńska Rzeszów, J. Nowacki Stanisławów, M. Tyczyńska Nisko, H. Andrzejowski Poznań, M. Ciesielski Kraków, A Trzeciak Krynica, K. Better Sanok, S. Machnicki Sądowa Wisznia, K. Kaim Kraków, M. Malinowska Oświęcim, K. Turecka Tarnopol, E. Bogdalska Koronuż, M. Serbeńska Budzanów, J. Badura Rożdzień, K. Fuchs Czeremchów, S Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Łososina Górna, K. Zegartowska Bogucice, J. Jaworski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **B. Bartuszek. Tarnów.** Upraszamy o nadesłanie 35 halerzy na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Józef Niepołomski (Andrzej Wirski). **W prochu ziemi.** Powieść. Kraków, 1911. G. Gebethner i Spółka. Warszawa, Gebethner i Wolff, odbito w drukarni Narodowej, Kraków.

Autor „Nocy“ staje przed nami z nowym utworem, opartym na tle obecnych stosunków społecznych. Rzecz napisana barwnie i zajmująco, wydanie bardzo staranne.

Eugeniusz Urbański: **Kto w Austryi nie podlega podatkowi powszechno-zarobkowemu?** Kraków, 1911 Nakład Towarzystwa prawnej ochrony podatników w Krakowie. Cena 50 hal. Czcionkami drukarni Związkowej.

Jasne, treściwe i systematyczne przedstawienie, jakie przedsiębiorstwa i zatrudnienia nie podlegają powszechnemu podatkowi zarobkowemu, lub też od niego mogą się uwolnić. Praca nader staranna, poparta orzeczeniami Najwyższego Trybunału administracyjnego.

Kącik humorystyczny.

Środki zaradcze przeciw cholerze.

(Wydane przez miejskie biuro sanitarne, jako pouczenie dla mieszkańców).

1. Nie jedz mięsa wołowego, cielęcego, baraniny, dziczyzny, drobiu ani ryb, każde bowiem mięso jest najlepszym roznosicielem zarazy.

2. Nie jadaj potraw mącznych, ani legumin, gdyż wszystkie są doskonałem podłożem, na którem rozwijają się bakcyle cholerycznе.

3. Nie jedz mięszaniny, surowych owoców, zimnych legumin, ani galaret, zimno bowiem jak wiadomo nie zabija bakteryi.

4. Nie jedz żadnej potrawy, która w stanie surowym mogła przechodzić przez ręce innych ludzi, nie masz bowiem gwarancyi, czy były one przedtem należycie zdezynfekcyonowane.

5. Nie pij piwa, wódki, wina, ponczu, grogu ani szampana, wszystkie te bowiem trunki osłabiają organizm i czynią go mniej odpornym wobec zarazków cholerycznych.

6. Nie pij kawy, czekolady, kakao, ani herbaty, zawierają one bowiem alkalady, które z innemi truciznami złączone dają objawy podobne do cholerycznych.

7. Nie pij wody, ani nie używaj żadnych potraw w skład których ona wchodzi, w wodzie bakterye choleryczne żyją bowiem czterdzieści dni, woda zaś odstała przez dni czterdzieścijeden z pewnością już by ci nie smakowała.

8. Nie jedz nic słodkiego, gorzkiego, kwaśnego, ani korzennego, wszystkie te bowiem potrawy wpływają ujemnie na odporność organizmu.

9. Jeśli zastosujesz się ściśle do powyższych przepisów, zapadniesz w najkrótszym czasie na tyfus głodowy i dostaniesz się na cmentarz rakowicki, a tam będziesz już stanowczo bezpieczny, że nie zarazisz się cholerą.

Autentyczne zdarzenie.

W czasie ostatniej powodzi na Śląsku wydało starostwo polecenie, aby gminy znaczyły na domach w okolicach nawiedzonych katastrofą najwyższy stan do jakiego woda doszła. W pewnej miejscowości ważną tę funkcyę powierzono wiejskiemu policyantowi, który wywiązał się skrupulatnie z zadań, znacząc kredą na ścianach wysokość zalewu. Gdy woda opadła kazał wójt te znaki porobić czerwoną farbą i umieścić przy nich datę.

Jakież jednak było zdziwienie władzy, gdy wybrała się na kontrolę. Wszystkie znaki były daleko wyżej, niż powódź sięgała.

Zapytany o powód, odpowiedział policyant:

— Ano, proszę pana wójta umyślnie tak zrobiłem, żeby tam te wiejskie łobuzy nie mogli dosięgnąć!

Głosy publiczne.

Zarząd Towarzystwa Domu Zdrowia uczącej się młodzieży polskiej **Pomoc Bratnia** w Zakopanem, wydał dziesiąte sprawozdanie roczne ze swej działalności.

Żadna może z naszych instytucyi nie staje z taką dumą przed społeczeństwem, jak właśnie „Pomoc Bratnia“, która w ciągu swego dziesięcioletniego istnienia pokazała, co może dobra wola i energia. Rozpocząwszy z niczem, dzięki swym zabiegom i dobrze pojętej ofiarności publicznej dziś Towarzystwo jest w stanie przytulić 129 chorych na gruźlicę i spodziewa się, że już wkrótce będzie mogła pomyśleć o własnym budynku, odpowiadającym wszelkim wymogom hygieny i wygodzie kuracyuszy.

Od początku istnienia „Bratniej Pomocy“ stoi na jej czele znany i zasłużony lekarz, Dr. Józef Żvchoń, poświecający umiłowanej przez się instytucyi lwią część czasu i nie szczędzący zabiegów, by przecież, przy skąpych dość środkach materyalnych postawić ją na tym poziomie, na jakim stać powinna.

Kto wie, ile ofiar corocznie porywa z pośród nas gruźlica, powinien ile możności popierać cele towarzystwa, mającego za cel walkę z tym strasznym wrogiem ludzkości W młodym wieku najłatwiej jeszcze ją pokonać, a to właśnie cel i zadanie „Bratniej Pomocy“!

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

28

— Mój drogi, jeżeli będziesz tak pilny i nadal, to po odejściu stąd możesz znaleść służbę nawet u panującego księcia...

Tetard nie pozwolił mu jednak dokończyć. Wstał zaraz, kładąc palec na ustach.

— Co takiego? — zapytał Panajon.

— Jest tutaj prezes Towarzystwa uwolnionych więźniów — szepnął herkules.

— Tutaj?

— Tak... Czeka na ciebie...

— Gdzie?

— W salonie... Przyjechał o dziesiątej... Byłem w knajpie z przyjaciółmi... Przyszła po mnie doróżka... Chce koniecznie widzieć się z tobą...

— Dobrze... Bardzo dobrze.

— Dobrze więc zrobiłem, żem go wpuścił?

— Ma się rozumieć.

— I ta wizyta nie przestrasza cię?

Tetard wiedział, że pan jego jest w zażyłych stosunkach z Maksymem Duretem. W przeciwnym bowiem razie na samo imię prezesa uciekłby, nie czekając na żadne wyjaśnienia. I obecnie był cały przerażony. Filantropa uważał ciągle za niebezpiecznego dla siebie urzędnika. Obecność jego niepokoiła go.

— Przestrasza?... — odparł Panajon. — Chodź za mną.

I wszedł do salonu razem z Tetardem. Maksym Duret stał i przyglądał się zawieszonej na ścianie jakiejś akwarelli. Czynił to dla dodania sobie pewności siebie. W gruncie rzeczy myśl jego była daleko od tego obrazu.

— Jak się masz, stary przyjacielu! — rzekł Panajon z uśmiechem.

Tetardowi zdawało się, że źle słyszy.

Maksym Duret zwrócił się do złodzieja i rzekł krótko:

— Ach, wreszcie pan jest!

I wyciągnął rękę, by uścisnąć rękę podawaną przez Panajona. Był to jedyny sposób, by uniknąć klapnięcia w brzuch. Tak przynajmniej sądził. Na nieszczęście dla niego złodziej nie zadowolił się podaniem ręki, lecz drugą poklepał go w ten obraźliwy sposób. Poniżenie prezesa było więc podwójne. A odczuł to tem żywiej, iż za świadka miał służącego, który obracał wielkiemi, niebieskiemi, zdumionemi oczami. Właśnie ze względu na tego służącego Panajon zaznaczał swą poufałość z filantropem. Chciał go zadziwić i wbrew przysłowiu okazać, że jest wielkim człowiekiem nawet dla swego służącego.

— To bardzo pięknie, żeś zaszedł mnie odwiedzić — rzekł. — Siadaj... Euzebiuszu, podaj likiery!

Panajon podsunął Maksymowi Duretowi fotel i sam siadł naprzeciw niego. Filantrop drżącym ruchem ręki wstrzymał Tetarda, który szedł już po żądane likiery.

— Chcę pomówić z panem sam na sam — rzekł do Panajona.

— Ach, więc to interes sprowadził cię do mnie? Ależ jest już późno i chce mi się spać... Chyba, że niedługo będziesz gadał, stara sroko?...

— Każ wyjść temu człowiekowi.

— Euzebiusz! Słyszysz! Pan prezes pragnie oglądać twe pięty! Marsz! Do nory!

Oszołomiony herkules skierował się do drzwi, wiodących do przedpokoju i znikł za niemi.

— Słucham cię! — zaczął Panajon.

Maksym Duret wyjął z kieszeni jeden z raportów, które Tetard zawiózł mu przed trzema godzinami na bulwar Bineau.

— Zdaje się — rzekł — że Ludwika Dubois rzuciła dzisiaj wieczorem dwa listy do skrzynki.

— Wiem o tem — odparł Panajon.

— Po raz pierwszy dopiero to zrobiła od czasu, gdy ją pilnujemy... Nie należy więc do osób, które ciągle psują papier na listy...

— Przypuszczasz więc, że te dwa listy są ważne?

— Tak... zwłaszcza, że w takich sprawach wszystko jest ważnem... Najmniejszy czyn panny Dubois może być bardzo doniosły... Niema więc rzeczy, którą moglibyśmy lekceważyć.

Bezceremonialność Panajona, jego zniewagi i gburowatość nie wyprowadziły z równowagi Maksyma Dureta. Filantrop drżał z gniewu, wstydu i strachu wobec podobnego zachowania się złodzieja przy służącym, potrafił jednak ukryć to w sobie. Zewnętrznie zachowywał swój zwykły spokój. I teraz wyrażał się z tą zimną i elegancką ścisłością, jaką podziwiano w jego mowach na posiedzeniach różnych rad zarządzających lub też towarzystw dobroczynnych.

— Chciałbym więc — ciągnął dalej — mieć oba te listy...

— Do dyabła! — odrzekł Panajon. — Nie łatwo dostać je w swe ręce!

— Owszem! Panna Dubois wrzuciła je do skrzynki o takiej porze, kiedy ostatnie wyjmowanie listów zostało już dawno uskutecznione...

— Masz racyę! — zawołał złodziej, pojmując teraz, czego Maksym Duret spodziewa się po nim. Zostaną one tam przez noc. Nic nie przeszkadza zabrać ich!

— Otóż, o to mi chodzi!

— Czy w raporcie wskazana jest ta skrzynka?... Ja sobie tego nie przypominam.

— Wskazana... Jest to skrzynka na końcu avenue de Villiers, nie dochodząc do ulicy Descombes...

— Doskonale!

Panajon wstał i nacisnął przy kominku guzik dzwonka elektrycznego.

Wszedł Tetard.

— Moje przybory! — rozkazał złodziej.

Służący znikł, lecz po kilku chwilach zjawił się znowu, niosąc w ręku coś w rodzaju portfelu, zawierającego wspaniałe narzędzia złodziejskie.

— Opróżnię całą skrzynkę — ciągnął dalej Panajon. — Listy te wyszukamy tutaj. Dalej, w drogę!

Odrazu był gotów do wyjścia. Każde nowe łajdactwo Maksyma Dureta było dla niego dobrodziejstwem. Im bardziej nędznik ten skompromituje się tem lepiej będzie go trzymał w swych rękach. — A przytem zachwycała go ta nocna wycieczka. — Brak mu było, jak się skarżył filantropowi, sposobności do kradzieży. Na sam widok tych przyrządów stalowych, serce mu zaczęło bić silniej.

— Spiesz się pan — rzekł Maksym Duret. — Będę ua pana czekał.

— Co takiego? — zawołał Panajon. — Nie towarzyszysz mi, stary koniu? Prędzej, ruszaj się stary trupie!...

— Będę raczej zawadą, niż pomocą.

— Może masz i racyę... Dobrze! zostań tutaj... Euzebiusz zabawi cię... Nauczysz się od niego różnych misternych sztuk... Do widzenia!

I złodziej wyszedł.

Maksym Duret dał znak Tetardowi, by go opuścił i pogrążył się w swych rozmyślaniach. W pół godziny Panajon był już z powrotem.

— Oto cała zawartość skrzynki! — rzekł, rzucając dwanaście listów na stolik.

Filantrop wstał i podszedł do nich.

— Nie znam charakteru pisma panny Dubois— rzekł. — Listy jej jednak poznamy po adresach.

I zaczął je przeglądać.

— „Baron de Lagunan"... — przeczytał. — „Piotr Cartelegue"... Oto są.

— *All right!*

Panajon wziął obie koperty i chciał je rozerwać. Maksym Duret powstrzymał go.

— Może będziemy musieli zapieczętować je znowu i rzucić na pocztę — zauważył. — Dobrze jest poznać ich treść, nie wiadomo jednak jeszcze, czy trzeba będzie je zatrzymać!...

— To słuszna uwaga.

Ponajon wziął nóż do przecinania z kości słoniowej, wsunął go z boku w otwór koperty i zaczął delikatnie odlepiać papier. Tę samą operacyę powtórzył i z drugim listem, podczas gdy Maksym Duret czytał półgłosem pierwszy list.

„Krótko odpowiadam na pański list. Ponieważ z zachowania mego dzisiaj nie wyciągnął pan odpowiednich wniosków, zabraniam panu w sposób kategoryczny zwracać się do mnie ustnie lub piśmiennie. Postąpił pan względem mnie zbyt niegodnie, bym mogła znosić jeszcze pański widok.

Ludwika Dubois".

— Brawo! — zawołał Panajon. — Samochód jest już mój!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Maksym Duret, zdziwiony treścią tego listu i okrzykiem złodzieja.

— Że wygrałem zakład.

— Jaki zakład?

— To prawda... Jeszcze nie wiesz tego... Założyłem się z baronem o samochód, iż nic nie wskóra u panny Dubois.

— Nie mówił mi pan tego! Proszę nic nie robić bez uwiadomienia mnie.

— Jeszcze czego! Wkrótce będę się musiał pytać, czy mogę palec włożyć do nosa!

I złodziej przeczytał drugi list.

„Będę oczekiwała jutro rano o dziesiątej godzinie na placu Pereire przed dworcem Courcelles.

Ludwika".

Te słowa były adresowane do Piotra Cartelegue'a. Młoda panna nie chciała, aby przyjaciel jej przychodził na Laugier, gdzie ją wszyscy znali. Bała się, że przyjedzie swym ogromnym samochodem, który sprowadzi do okna wszystkich mieszkańców i wywoła dwadzieścia stróżek przed bramy.

Maksym Duret namyślał się przez chwilę.

Panajon czekał w milczeniu.

— Niech pan zachowa ten list — rzekł wreszcie filantrop, wskazując na list, który jego wspólnik trzymał jeszcze w ręku. — Będzie pan mógł mówić, że otrzymał go pan jutro rano i będzie go pan wszędzie pokazywał jutro wieczorem... Nikt się też nie zdziwi pojutrze, gdy się dowie, że pan wyjechał razem z panną Dubois...

— Dobra myśl! — przyznał Panajon.

— Mówiłem jednak panu o zachowaniu listu, a nie koperty.

— To prawda... Zaraz ją spalę...

— Niech pan jej nie niszczy! Będzie nam potrzebna.

I Maksym Duret biorąc kopertę, adresowaną do Piotra, włożył do niej list przeznaczony dla barona.

— Och! och! och! — podziwiał Panajon. — Ta myśl jest więcej, niż dobra! Król stu dwudziestu koni otrzyma na śniadanie pasztet, jakiego się nie spodziewa!

— Dobrze się pan domyślił! Proszę trochę gumy, by zakleić kopertę, a potem list ten należy rzucić do skrzynki.

— A to wszystko? — zapytał Panajon, wskazując na listy rozrzucone na stoliku.

— Również do skrzynki! Muszą one dojść do miejsca swego przeznaczenia.

— To prawda! W przeciwnym bowiem razie poszkodowani poskarżyliby się w biurze pocztowym, a po tygodniu dzienniki opisywałyby okra-

dzenie skrzynki. I Piotr Cartelegue mógłby domyślać się kawału, jaki mu urządziliśmy.

Panajon wziął buteleczkę z gumą i zakleił kopertę.

— Teraz nie pozostaje mi nic innego—rzekł— jak odnieść to wszystko na avenue Villiers.

— Po co to robić?—zapytał Maksym Duret.— Czy zostawił pan skrzynkę otwartą?

— Nie.

— Czy jest widocznem, że pan ją otwierał?

— Zupełnie niewidoczne.

— A więc dobrze! Nie zajmujmy się już tem. Listonosz, który ją otworzy jutro rano, nic w niej nie znajdzie... Musi się to nieraz zdarzać...

Prawdopodobnie.

— A oprócz listu, który pan zachowa, wszystkie inne wrzucę sam do pierwszej napotkanej skrzynki....

— Rzeczywiście... Nic prostszego... — szeptał złodziej. — Wszystko załatwione.

Patrzył na Maksyma Dureta z podziwem. Naraz podszedł bliżej, schwycił go w ramiona i pocałował, wołając:

— Prezesie! jesteś wielkim jak świat!

XIX.

Następnego dnia koło trzeciej godziny po południu Maksym Duret znajdował się w mieszkaniu, które wynajął na avenue Ternes. Na twarzy jego widniała teraz przy faworytach fałszywa broda. Na oczach miał okulary, a na głowie aksamitną czapeczkę. Klęczał przykucnięty pośrodku salonu przed wielkim piecykiem do węgla drzewnego, który przed chwilą przyniesiono mu z magazynu. — Z miechem w ręku rozpalał węgiel, który zaczynał się już zajmować płomieniem.

— Wreszcie! — szepnął wstając, gdy już wszystkie kawałki węgla rozpaliły się. — Teraz muszę tylko podtrzymywać ogień. I przeniósł piecyk w róg za parawan koło otwartego na oścież okna, przez które dolatywał szum z ulicy.

Drzwi od salonu były również otwarte, wskutek też czego panował silny przeciąg. Maksym Duret przeszedł do sąsiedniego pokoju. Była to sypialnia berdzo skromnie umeblowana, w której stały tylko niezbędne sprzęty. Reszta mieszkania przedstawiała się nie lepiej. Maksym Duret nie chciał ponosić większych kosztów na umeblowanie tego mieszkania. Elegancya była mu w tym wypadku zupełnie niepotrzebna.

W domu, którego prezes od dwóch dni stał się lokatorem pod nazwiskiem Marcelego Duponta, na parterze mieścił się magazyn ubrań, na pierwszem piętrze było biuro Towarzystwa asekuracyjnego, a na drugiem kantor ekspedycyjny. Na schodach panował też nieprzerwany ruch wchodzących i wychodzących ciągle urzędników i interesantów. Maksym Duret mógł więc wchodzić i wychodzić bez zwracania na siebie uwagi stróżki, która przyzwyczajona już była do tego ciągłego tłumu ludzi mijających jej mieszkanie.

Przychodził nieraz w czarnej zarzutce bez zmieniania wyrazu swej twarzy, a po chwili wychodził znowu przeistoczony do niepoznania dzięki swej fałszywej brodzie, okularom na oczach i innemu ubraniu. W ten sposób nikt go nie poznawał. Tak przebrany udał się poprzedniego dnia na ulicę Laugier. Przedtem zasięgnął informacyi u matki Ladroule o właścicielce pralni i doszedł do przekonania, że pani Lambert nie odznaczała się ani delikatnością uczuć, ani bezinteresownością. Potem dopiero skierował się do pralni i przyrzekł właścicielce oddawać jej do prania swą bieliznę, byle tylko przysyłano zawsze do niego tę sympatyczną praczkę, Ludwikę Dubois.

Maksym Duret oczekiwał teraz młodej panny. Rano była ona po koszule i miała je odnieść o czwartej godzinie popołudniu.

— W każdym razie nie później, jak o piątej!— żądał filantrop od pani Lambert.

Ażeby odrazu pozyskać sobie właścicielkę, wsunął jej do ręki monetę pięciofrankową. Pani Lambert, zachwycona zachowaniem się nowego klijenta, postanowiła sama wyprasować jego koszule, co też uczyniła ku ogólnemu podziwowi swych pracownic. Koszule były olśniewającej gładkości i białości. — I skończyła je nie o piątej, lub o czwartej, lecz o trzeciej godzinie.

— Prędzej! — zawołała gruba dama, odstawiając żelazko. — Mały koszyk!

Podano go jej w tej chwili. Koszule równo złożone w kilka minut znajdowały się już w koszu, nakryte białą serwetą.

— Ludwiko! — rozkazała pani Lambert. — Prędko do pana Duponta!

Młoda panna odniosła posłusznie żelazko na podstawkę na rozpalonym piecu. Julia chciała uczynić to samo.

Przyjaciółka bandytów w dalszym ciągu należała do personalu pralni, mimo skandalu, jaki zrobiła u pani Radoux. Notaryuszowa nie omieszkała zażądać oddalenia zuchwałej pracownicy. Nie zadowalając się pisaniem, zjawiła się osobiście na ulicy Laugier. Skargi jej jednak były tym razem tak przesadne, tak ostro wyrzucała pani Lambert krnąbrność Julii, iż zmęczona i zdenerwowana właścicielka sama się uniosła. Zwłaszcza, iż roboty było bardzo dużo, a brakowało rąk do pracy. Pani Lambert odmówiła więc wprost dania satysfakcyi swej klijentce. Wobec tego zaszła dramatyczna scena. Pani Radoux, wychodząc z pralni, nazwała ją bardzo ostrem słowem. Właścicielka i pracownice odpowiedziały jej chórem i sztuki brudnej bielizny spadły na notaryuszową, podczas gdy tryumfująca Julia wołała swym ochrypłym głosem:

— Będziesz przychodziła skarżyć się, że plamy błota nie pozwalają zadzierać ci nóg wyżej głowy!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył chory w szpitalu Bonifratrów.

Litery wstawione w miejsce kwadratów utworzą znaną maksymę.

bó —
j — d
so —
k — t
— ło
— rt
sa —
to —
b — r
gi —
pa —
— kt
— ep
i — a
r — n
— ra
p — t
to —
— nn
ł — b
— aj
kr —

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze zaimek, jak: tamci lub owi
Drugie wołanie o spokój stanowi,
Całość jest także rodzajem spokoju,
Miłym dla wszystkich po trudach i znoju.

Logogryf.

Ułożyła K. T. Turecka, Tarnopol.

Miejsca oznaczone kwadratami, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znanego artysty-malarza.

□ — — —
— □ — —
— — □ —
— — — □
— — □ —
— □ — —
□ — — —
— □ — —
— — □ —
— — — □
— — □ —
— □ — —
□ — — —
— □ — —

Znaczenie wyrazów:
1. Imię męskie. 2. Imię żeńskie. 3. Pora roku. 4. Rodzaj podatku. 5. Napój. 6. Miara odległości. 7. Najnowsza powieść Sienkiewicza. 8. Silny sznur. 9. Miasteczko w Galicyi. 10. Dziki wół. 11. Ziemia uprawiona. 12. Inaczej chwast kolący. 13. Ptak drapieżny. 14. Rzeka na Węgrzech.

Kwadrat magiczny.

Ułożył N. N., Kraków.

Z podanych liter ułożyć szereg wyrazów. Środkowy rząd pionowy i poziomy da nazwisko głośnego angielskiego zbrodniarza, szósty poziomy detektywa, który go schwytał.

□
— □ —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
□ □ □
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rodzaj papugi. 3. Broń. 4. Szukany wyraz. 5. Roślina ogrodowa. 6. Szukany wyraz. 7. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze litera, zaś *drugie i trzecie*
Przy gospodarstwie rolnika znajdziecie.
Całość, to czasem niewidzialna siła,
Lub też w przeróżnej jawi się postaci,
Czasem nie wiemy, skąd nagle przybyła,
A nieraz człowiek życiem ją przypłaci,
Ażeby tylko ocalić bliźniego
Od śmierci, klęski, lub innego złego.
Tysiące mężnych miały ją na celu,
Tych bohaterów poginęło wielu,
A wielu rannych do domu wróciło.
Tam była ona szczytem poświęcenia.
To znowu postać swą zupełnie zmienia.
Wtedy, za wszystko, starczy jedno słowo,
Ażeby wierzyć i ufać na nowo.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania **Józefa Niepołomskiego: W prochu ziemi.**

„AUTO“ Kraków

Plac Szczepański 2

Numer telefonu 107.

Wyłączne zastępstwo Daimler'a.
Wszelkie przybory automobilowe.
Pneumatyki, benzyna, oliwa.
Fabryczny skład angielsk. przyborów sportowych.
Tennis, Piłka nożna Hockey, Golf.
Saneczki i narty. Sport turystycz. letni i zimowy.

Rok założenia 1900 PIERWSZORZĘDNY Rok założenia 1900

ZAKŁAD KRAWIECKI

NA ZAMÓWIENIA

Jedyny skład ubrań gotowych

wyrobu krajowego.

Kraków ul. Floryańska 7, tuż przy Rynku
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 (gdzie Cent. Kawiarnia)

Związek katolic. krawców

Stowarzyszenie zarejestrowane z ograniczoną poręką.

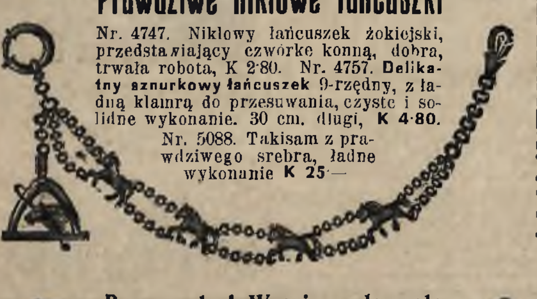
Fabryka lalek, oraz Klinika, Kraków, Wolska 1
wysyła za zaliczką odwrotnie każde zamówienie.

Nowa lalka z figurą i modną fryzurą dla starszych dziewczątek do nauki kroju i szycia (własny wyrób)



Wielkość i cena: 53 — 10 K, 57 — 11 K, 62 — 13 K bez stroju.
Ubrana jak na illustr. K 18, 20 ,22, 24 i t. d.

Prawdziwe niklowe łańcuszki



Nr. 4747. Niklowy łańcuszek żokiejski, przedstawiający czwórkę konną, dobra, trwała robota, K 2·80. Nr. 4757. **Delikatny sznurkowy łańcuszek** 9-rzędny, z ładną klamrą do przesuwania, czyste i solidne wykonanie. 30 cm. długi, **K 4·80.**
Nr. 5088. Takisam z prawdziwego srebra, ładne wykonanie **K 25·—**



Bez ryzyka! Wymiana dozwolona, albo zwrot pieniędzy.
Wysyłka za zaliczką, lub za poprzedniem nadesłan. należytości.
C. i k. nadw. dostawca **Hanns Konrad**
Dom wysyłkowy
w Brüx Nr. 3587.
(Czechy).

Katalog główny z przeszło 3000 rycin. wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Prawdziwe czeskie towary trykotowe.



Koszule, staniczki, majtki etc. dla **panów, pań i dzieci** w największym wyborze **i w najlepszym gatunku.** Ubrania dziecinne t. j. staniczek i spodenki zimowe w jednym kawałku, wewnątrz ostre, zależnie od wielkości K 1·60, do K 3·20. Zimowa koszula męska, zależnie od wielkości: K 3·20, 3·40, 3·60, i 4·—. Damska koszula zimowa, zależnie od wielkości: K 3·30, 3·40, 3·60.

Wielki wybór w koszulach męskich, kalesonach, w koszulach damskich i majtkach, jakoteż dokładny opis wielkości znajdzie Pan w moim katalogu głównym.

Bez ryzyka!

Wymiana dozwol., lub zwrot pieniędzy, Wysyłka za zaliczką, albo za poprzedn. nadesłaniem należytości.

C. i k. nadworny dostawca **Hanns Konrad** **Dom wysyłkowy**
w Brüx Nr. 3609 (Czechy).
Bogato illustrowany katalog główny z przeszło 3000 rycinami wysyłam darmo i opłatnie.



Nigdy nie trzeba używać równocześnie dwóch różnych preparatów, celem pielęgnowania cery, gdyż odnośne składniki bardzo często się nie znoszą, w następstwie czego złe skutki sprowadzić mogą.
To samo odnosi się do wyboru pudru, ponieważ nie każdy z **Cremem Simona** harmonizuje, dlatego godnem polecenia jest używać do **Cremu Simona** także zawsze tylko **Pudru Simona** z fiołkowym lub heliotropowym zapachem. 1

Przez przyjaciół zapoznałem się z Pańską wyśmienitą „CIRINE“ do parkietów i LINOLEUM.

Przez przyjaciół zapoznała się moja żona z Pańską wyśmienitą politurą „CIRINE“ do parkietów i linoleum i proszę o łaskawe zawiadomienie mnie, gdzie można ją otrzymać. Podp.: **Paweł Lüscher,**
Berno (Szwajcarya), dnia 27/2 1910. (3)

Wszędzie do nabycia. 1 flaszka 3 K, ½ flaszki K 1·70.
Wytwórca: **J. Lorenz & Co., Eger** (w Czechach).

Tanie czeskie PIERZE



5 kilo: nowego dartego K 9·60, lepszego K 12, białego dartego miękkiego jak puch K 18 i 24, śnieżno białego dartego miękk. jak puch 30 i 36. Wysyłka franko za zaliczką, zamiana i zwrot opłatnie dozwolona
Benedykt Sachsel, Lobes N. 265 obok Pilzna, Czechy.

STRZELBY



Jednolufki	**od Kor.**	**26·—**
Dubeltówki	„ „	**35·—**
Floberty	„ „	**8·50**
Pistolety	„ „	**2·—**
Rewolwery	„ „	**5·—**

Naprawy możliwie najtaniej. Bogato illustrowany Cennik darmo i opłatnie.

F. DUŠEK
fabryka broni
w Opočno Nr. 485.
a. d. Staatsbahn. Czechy.

Budzik konkurencyjny K 2·90



Nr. 3946. Według syst. amerykańskiego w każdej pozycyi idący, nadający się do ciągłej służby, dobrej konstrukcyi, z 3 letnią pisemną gwarancyą za dobry i dokładny chód, K 2·90, 3 sztuki K 8·—. Nr. 3946 1/2. z tarczą w nocy świecącą K 3·30, 3 sztuki K 9·—.

Bez ryzyka!
Wymiana dozw., lub zwrot pieniędzy.
Wysyła za zaliczką lub po otrzymaniu z góry należytości.
Pierwsza fabryka zegarków
HANNS KONRAD
c. i k. nadw. dostawca
w Brüx Nr. 3584 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 3000 rycinami wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.



Jeden elektroplaque złoty zegarek płaski z metal. cyferblat. wraz z łańcuszk. tylko K 4·70.

Proszę zażądać bogato illustrowanego cennika zegarów, biżuteryi, instrumentów muzycznych i przyborów zegarmistrzowskich.

Ignacy Cypres
Kraków, Floryańska 49.

Leczcie pijaństwo



zanim nałogowy pijak naruszy kodeks karny.
Ratujcie go, zanim alkohol jego zdrowie, chęć do pracy i majątek zniszczy, lub też zanim śmierć ratunek uczyni niemożliwym.

COOM jest surogatem dla alkoholu i sprawia, że nałogowiec będzie czuł obrzydzenie do gorących trunków.
COOM jest najzupełniej nieszkodliwym i działa tak intenzywnie, że nawet bardzo nałogowi ludzie nie popadają napowrót w ten nałóg.
COOM jest najnowszą na tem polu zdobyczą wiedzy i wyratował już tysiące ludzi od biedy, nędzy i zupełnej ruiny
COOM jest preparatem łatwo rozpuszczalnym, który n. p. żona mężowi w śniadaniu łatwo podać może, a on tego zupełnie nie spostrzeże. W najliczniejszych wypadkach dotyczący nawet nie pojmuje, dlaczego tak nagle spirytualiów znieść nie może, co najwięcej przypuszcza, że powodem tego jest nadmierne użycie trunków, tak jak n. p. często czuje się wstręt do jakiejś potrawy której się za często używało.

Coom powinien każdy ojciec swemu synowi, uczniowi podać, nim tenże przy egzaminach przepadnie; jakkolwiek tenże nie używa jeszcze zanadto trunków, to przecież alkohol osłabia jego umysł. Wogóle powinien każdy, który niema dosyć własnej woli, powstrzymywać się od używania trunków gorących i zażywać po dozie Coomu. Tenże jest zupełnie nieszkodliwym. Dotyczący szanuje przez to swoje zdrowie, zaoszczędza dużo pieniędzy, któreby wydał na wino, piwo, wódkę i likiery.

Preparat Coom kosztuje K 10·— i wysyła się za poprzedniem nadesł. należytości lub zaliczką.

Coom Instytut, Copenhagen 307 (Dännemark).

Listy należy frankować marką za 25 halerzy. Kartki korespondencyjne za 10 halerzy.



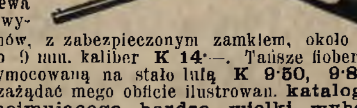
Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie
Telefon 759.
posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.
Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

Floberty Teschinga

wybornie ostrzelane, najlepszej jakości, dostarcza
c. i k. nadw. dost. HANNS KONRAD w Brüx Nr. 3617 (Czechy).



Nr. 142. Kanciasta lufa do roztwierania z bokami z drzewa orzechowego, z wyciągaczem patronów, z zabezpieczonym zamkiem, około 50 cm. długa, 6 lub 9 mm. kaliber **K 14·—.** Tańsze floberty Teschinga z przymocowaną na stało lufą **K 9·50, 9·80, 11·20.** Proszę zażądać mego obficie ilustrowan. **katalogu głównego, obejmującego bardzo wielki wybór wszelkiego rodzaju broni i przybor. do polowania.**
Wysyła się go każdemu za darmo i opłacony.
Bez ryzyka! Wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy.
Wysyłka za zaliczką lub po otrzymaniu należytości z góry.

Najtańsze maszyny

do robienia pończoch

w **Austro-Węgrzech** dostarcza Dom wysyłkowy
J. F. Nouzák, Praga
(Czechy) **Riegerquai 24/47.**
Cenniki darmo. Dzienny zarobek 4 korony.



Najlepsze Zegarki, Pierścinki
i wszelkie wyroby jubilerskie poleca ☞ **najtaniej**

Emil Goldwasser
W KRAKOWIE,
ul. Grodzka 1.

25 :: Za darmo i opłacone wysyła **bogato illustrowane CENNIKI.**



Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie